WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

10 LUTEGO 1962 roku zmarł Władysław Broniewski. Poezja polska straciła wybitnego twórcę, czytelnicy — autora, jednego z najpopularniejszych.

Jest osobliwe, że w okresie, kiedy poezja stała się wyrafinowana formalnie, wiersz Broniewskiego mimo swojej prostoty nie stracił na wartości. Przyczyną tego jest głęboki humanizm Broniewskiego. Ten poeta umiał mówić o sprawach zwykłych człowieka w sposób w swej prostocie aż niezwykły. Nie dzielił spraw na wielkie i małe. Mówił o honorze, o umiłowaniu ojczyzny, o walce o wolność, o sprawie robotniczej, ale równocześnie zostawił przepiękny zbiór liryków osobistych, wierszy o pięknie przyrody, miłości, tęsknocie.

Rewolucyjny ton tej poezji jest niezwykle silny. Broniewski całe życie i całą twórczość związał ze sprawą klasy robotniczej, której był piewcą i heroldem. Do dziś w czytelniczej świadomości pozostała moc sugestywna takich wierszy jak „Magnitogorsk albo rozmowa z Janem", jak „Bagnet na broń", jak „Komuna paryska". Był Broniewski patriotą i internacjonalistą. Sercem i słowem był wszędzie tam, gdzie toczyła się walka o zniesienie ucisku, o wolność, o godność człowieka.

Ukochał Polskę. Jego opisy ojczystego pejzażu należą do najlepszych w naszej poezji. Kraj topól, brzóz, wikliny znalazł swój wierny portret w tych wierszach pełnych świetnego malarstwa. Broniewski malował słowem jak rzadko który z poetów. Ale bardziej jeszcze niż Broniewski — malarz zapisał się w odbiorze czytelniczym Broniewski — muzyk. Sprawiła to niezwykła rytmiczność jego wierszy. Strofa tego poety sama jest brzmieniem, akordem, zwartością. Dlatego działa tak sugestywnie, dlatego idące z estrady słowo Broniewskiego uderza z taką mocą, z takim artystycznym skutkiem. Znane są wypadki, kiedy recytację zaczętego wiersza podchwytywała widownia.

Rewolucyjny charakter tej poezji stawia ją w rzędzie najefektywniejszych działań mających na celu poprawę losu klasy robotniczej. Z siłą poetyckiego słowa, z siłą słowa Broniewskiego weszły w narodową świadomość polską treści rewolucyjne. Broniewski zawsze towarzyszył swoją poezją walce proletariatu. Wszystko co łączyło się ze sprawą klasy robotniczej w tej poezji znajdowało wyraz i oddźwięk.

Liryka osobista Broniewskiego zdumiewała krytyków, którzy nie mogli uzasadnić jej sąsiedztwa z tonem tyrtejskim. Ale ten poeta do wszystkiego miał stosunek żywy, każdy fragment tego świata rejestrował swoim uczuciem czujnym i głębokim. Stąd nie ma rozdźwięku między wierszami o pracy górniczej, a „wierszami o wczesnej wiośnie pisanych późną jesienią".

Znaczenie Broniewskiego mimo upływu lat, nie maleje. Ten poeta wstąpił w roku 1925 w poezję polską, by zostać w niej na zawsze.

Z. M.

„LITIERATURNAJA GAZIETA"

Wywiad z Luisem Corvalanem

Wkrótce po przybyciu do Moskwy sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Chile, Luis Corvalan, udzielił wywiadu przedstawicielowi „Litieraturnoj Gaziety". Mówił w nim o obecnej sytuacji w Chile, o prześladowaniach tamtejszych patriotów i o swoim trzyletnim pobycie w więzieniach reżimu Pinocheta. Poniżej podajemy obszerne fragmenty tego wywiadu, obrazujące losy chilijskiej kultury pod rządami junty.

— W jakim położeniu znalazła się inteligencja twórcza, a szczególnie — literaci?

— Wielu przedstawicieli inteligencji chilijskiej zostało zmuszonych do opuszczenia kraju, a niektórzy zostali wygnani. Ci, co jeszcze pozostali, pozbawieni są możliwości wypowiadania się. Za czasów Allende nakłady wydawanych książek osiągnęły poziom nigdy dotąd nie notowany w Chile. Mam tutaj na myśli zarówno książki naszych literatów, jak i pisarzy zagranicznych. Natomiast w ciągu ostatnich trzech lat pojawiły się w Chile może jedno lub dwa dzieła literackie. Zresztą nic dziwnego: przecież najwybitniejsi chilijscy pisarze opowiedzieli się swego czasu po stronie frontu ludowego. Przytłaczająca większość pozostałych w kraju literatów znajduje się w niezwykle trudnych warunkach. Co więcej, w ostatnich latach literatura chilijska poniosła ciężkie straty; przede wszystkim była to śmierć Pabla Nerudy...

— Wiadomo, że od wielu lat przyjaźniliście się z Pablem Nerudą.

Kiedy widzieliście się ostatnio? Co Wam wiadomo o nowych wydaniach dzieł Nerudy, o losach jego literackiej spuścizny, o jego domu nad oceanem?

— Zacznę od sprawy publikacji: w latach dyktatury Pinocheta nie ukazała się w Chile ani jedna książka Pabla Nerudy. Coś niecoś z tego, co ukazywało się w innych krajach, przywozili do nas po kryjomu turyści. Dzięki temu można było zapoznać się — oczywiście nielegalnie — z niektórymi z ostatnich dzieł Nerudy, między innymi z jego wspomnieniami. Junta zabroniła także tradycyjnych dorocznych obchodów ku czci Pabla Nerudy. Ale to święto jest obchodzone potajemnie; nigdy nie zapomnimy o naszym wielkim poecie.

Wdowa po Pablu, Matylda Neruda, opowiadała mi niedawno, że kiedy ostatnio, w rocznicę śmierci męża, przyszła — jak zwykle — na cmentarz, była wstrząśnięta widokiem tłumu ludzi składających kwiaty na jego grobie. A czwórka młodych Chilijczyków stojących u mogiły grała na fletach narodowe melodie...

Ostatni raz widziałem Nerudę w przeddzień faszystowskiego przewrotu. Było to w jego domu na Isla Negra, stojącym nad samym brzegiem oceanu, 31 sierpnia 1973 r. Pablo był już wtedy bardzo chory, ale, jak zawsze, okazywał ogromne zainteresowanie naszą walką. Wyrażał swoje poglądy; martwił go fakt, że niektóre wydarzenia w kraju rozwijają się nie tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Powiedziałem mu wtedy, że niewykluczona jest możliwość przewrotu państwowego. Ale pod koniec rozmowy, żeby go uspokoić, dodałem: „Nie martw się, Pablo, nic nie będzie" Pablo popatrzył na mnie z niedowierzaniem, pokiwał głową i powiedział: „Faszyści nie cofną się przed niczym. Przecież wspaniałego hiszpańskiego poetę, Garcie Lorcę, zabili nie zastanawiając się..."

— W jakim stanie znajduje się teraz dom i archiwum Nerudy?

— Dom w Santiago, w którym mieszkał Pablo, został — jak wiadomo — rozgrabiony przez juntę. A o losie domu nad oceanem, niestety, nie mogę powiedzieć nic konkretnego. Możemy mieć nadzieję, że ten dom ocaleje i przyjdzie czas, kiedy stanie się on muzeum Pabla Nerudy.

— Wiadomo, towarzyszu Corvalan, że od dawna śledzicie z uwagą literaturę radziecką...

— Rosyjska klasyka miała wielki wpływ na walkę narodu chilijskiego o wolność i niezawisłość. Wystarczy tylko wspomnieć o wielkiej poetce chilijskiej Gabrieli Mistral, niestrudzonej propagatorce literatury rosyjskiej. Bardzo popularni są w Chile Tołstoj, Dostojewski i Czechow. Ogromną sympatią cieszy się u nas znakomita literatura narodów radzieckich, przy czym jej wpływ nie ogranicza się tylko do kręgu ludzi pióra, ale obejmuje również szerokie masy czytelników. Dlatego, że literatura radziecka wciela w życie idee swojego narodu. Kto z nas nie czytał „Matki" Gorkiego?! Doskonale są znani: Włodzimierz Majakowski, Aleksy Tołstoj, Konstanty Fiedin, Michał Szołochow, Leonid Leonow, Konstanty Simonow...

Wielu radzieckich pisarzy przyjeżdżało do Chile, niektórych poznałem u siebie w kraju, a teraz w Moskwie... Przypominam sobie dwóch waszych znanych poetów — Siemiona Kirsanowa i Michaiła Łukonina, którzy gościli w Santiago i byli u mnie w domu. W więzieniu dowiedziałem się o ich śmierci. To wielka strata. I Kirsanow i Łukonin byli świetnymi poetami i aktywnymi bojownikami o pokój i socjalizm.

Niejednokrotnie spotykałem się z reżyserem i pisarzem, Romanem Karmenem. Wysoko cenię jego talent. Przypominam sobie jego hiszpańskie i chilijskie filmy; jesteśmy mu głęboko wdzięczni za nie. Wiadomo mi, że niedawno Karmen nakręcił film „Serce Corvalana", ale jeszcze go nie widziałem. Słowem: Chilijczycy głęboko cenią radziecką literaturę i życzą jej nowych osiągnięć.

— Jesteście znani, towarzyszu Corvalan, także jako świetny publicysta. Jakie są Wasze plany twórcze? Czy w ciągu trzech lat pobytu w więzieniach udało się Wam coś napisać?

— Niestety, bardzo niewiele, na nielicznych kartkach. Swoją rolę publicysty widzę w tym, aby każdego dnia pisać dla naszych partyjnych wydawnictw. Być może nadejdzie taka chwila, kiedy będę mógł się wziąć za większą książkę o naszej partii i naszej walce.

— Co myślicie o nowym, 1977 roku; jaki on się Wam jawi?

— W ciągu minionych trzech lat, niezależnie od faszystowskiego przewrotu w Chile, świat nadal podążał naprzód. Padły dyktatury faszystowskie w Grecji i Portugalii. Imperialiści amerykańscy ponieśli porażkę w Wietnamie, a naród wietnamski odniósł pełne zwycięstwo. Ruch narodowo-wyzwoleńczy w Angoli zadał miażdżący cios kolonizatorom. Wiele osiągnięto w walce o pokojowe współistnienie — mam na myśli Helsinki!

Patrzę w przyszłość z optymizmem. Wierzę, że w obecnym, sześćdziesiątym roku Wielkiego Października, naród radziecki pod przewodnictwem swojej partii leninowskiej osiągnie nowe, wspaniałe zwycięstwa.

Tłum. M. D.

Dwie niedawno wydane książki znanego homeopaty francuskiego, dr Jacquesa Michaud, są interesującym kluczem do wciąż jeszcze całkowicie nieznanych i nie uznawanych oficjalnie przez współczesną medycynę „metod ezoterycznych" leczenia niektórych typów schorzeń.

„Z tamtej strony" nauki

WIEDZA ezoteryczna (od greckiego słowa esotericós — zamknięty, wewnętrzny) należała od czasów starożytnych i średniowiecza do nauk przekazywanych w dawnych szkołach filozoficznych tylko zamkniętemu gronu uczniów. Autor książek pt. „Podstawy naukowe homeopatii" oraz „Medycyna inna" określa ezoteryzm jako *poszukiwanie niewidzialnego pod widzialnym*. Jego zdaniem — obok medycyny naukowej — istnieje równolegle inna, przeznaczona dla „wtajemniczonych". Mimo negowania przez autorytety naukowe znana jest ona od wieków. Zalicza się do niej metody leczenia takie jak: homeopatia, magnetyzm, yoga, niektóre odmiany psychoterapii, akupunktura, irydologia i in. Niektóre z tych dyscyplin brane są pod uwagę przez współczesną medycynę, która przyznaje im pewne użyteczne wartości, dalekie jednak od nadawania tej dziedzinie wiedzy podstaw naukowych.

Spośród różnych dyscyplin ezoterycznej wiedzy Jacques Michaud wyodrębnia wspólną ich podstawę — dynamiczną wizję istoty ludzkiej, pojmowanej jako „unikalna cząstka kosmosu", związaną nierozłącznie i odeń zależną z otaczającym ją środowiskiem. Podobnie jak medycyna naukowa, Michaud uznaje, że w środowisku zewnętrznym człowieka zachodzą nieustanne zmiany oddziałujące jako bodźce pobudzające i regulujące czynności życiowe ustroju. Zmiany te nie mogą być jednak zbyt kontrastowe, nie mogą przekraczać pewnych granic przystosowania ustroju, gdyż wówczas nastąpiłoby zakłócenie równowagi. Konsekwencją tego jest zespół zmian zakłócających czynności życiowe ustroju, czyli choroba. Zmiany zaś środowiska zewnętrznego, wywołujące chorobę nazywa się bodźcami patologicznymi lub czynnikami chorobotwórczymi.

Jak wygląda przebieg procesu chorobowego w świetle wiedzy ezoterycznej? Choroba — według dr Michaud — zaczyna się zawsze od stanu arytmii zakłócenia i braku harmonii pomiędzy różnymi obwodami energii spowodowanymi agresją z zewnątrz — pożywieniem, szkodliwymi bodźcami, bądź też z wewnątrz — emocjami oddziałującymi najpierw na funkcje natury psychicznej, następnie zaś wywołującymi zaburzenia w poszczególnych narządach i ich uszkodzenie, czyli chorobę somatyczną. Gdy ktoś zachoruje, dla lekarza — homeopaty stanowi to oznakę, że u pacjenta nastąpiło ogólne rozstrojenie organizmu; techniki ezoteryczne mają zaś na celu, łącznie z właściwą psychoterapią, „wyzwolenie" potencjalnej energii uwięzionej przez ustrój.

Autor zaznacza, że niektórzy lekarze od dawna stosują wiele technik ezoterycznych, np. przy badaniu oczu pacjenta i ustalaniu istnienia plam i ziarenek w tęczówce, określających jego stan zdrowotny oraz rodzaj choroby, na którą cierpi. Bada się również ręce i stopy, ustala linie dłoni przed zastosowaniem pewnego typu masaży zdrowotnych itp. Dr Michaud przypomina, że w XIX w. w Niemczech i USA powstawały szkoły, szpitale i apteki homeopatyczne, istniejące w wielu krajach po dziś dzień, mimo że autorytety naukowe dowodziły bezpodstawności homeopatii.

Wynalazca i propagator homeopatycznego leczenia chorób, niemiecki lekarz dr Hahnemann z Lipska, zalecał podawanie chorym silnie rozcieńczonych dawek leków, łatwiej penetrujących tkanki, u ludzi zdrowych leki te w większych dawkach wywołują objawy podobne do tych, jakie chcemy zwalczać. Stosując zasadę „podobne leczy się podobnym" w przeciwieństwie do zasady głoszonej przez ojca medycyny, Hipokratesa „przeciwieństwa leczy się przeciwieństwami" — homeopaci posługują się substancjami naturalnymi, istniejącymi w przyrodzie. Dobór tych substancji jest bardzo staranny, podobnie ich przyrządzanie: rozcieńczanie, suszenie i ucieranie na proszek, przygotowywanie pigułek itp.

Przechodząc z kolei do wschodnich metod medytacji, za pomocą których można uzyskać poprawę stanu psychicznego i fizycznego pacjenta, dr Michaud przypomina, że w szpitalu w Bostonie uzyskuje się pomyślne wyniki w leczeniu nadciśnienia właśnie tymi metodami. W niektórych kołach lekarskich bierze się już coraz poważniej pod uwagę metody koncentracji, za pomocą których jogowie potrafią odpowiednio regulować oddech, przybierać określone pozycje ciała oraz uzyskiwać koncentrację wzroku i słuchu. Uzyskany dzięki temu stan medytacji użyteczny być może w leczeniu m. in. choroby nadciśnieniowej, która związana jest z wieloma czynnikami psychicznymi, zwłaszcza stanami napięcia nerwowego. Pacjenci poddani technice medytacji po pewnym czasie wykazywali znaczne obniżenie ciśnienia krwi, wiele zaś osób mogło nawet ograniczyć używane dawniej leki przeciwciśnieniowe.

(NIT)

1939—1945

POSTAWY POLAKÓW

Zygmunt Mańkowski

Od czasu, gdy na ziemiach polskich toczyła się jedna z najkrwawszych w dziejach naszego narodu i państwa bezpardonowa walka z okupantem, minęło już przeszło trzydzieści lat. Ten dystans, ogromna faktografia, którą otrzymaliśmy dzięki odczytaniu ocalałych źródeł, licznym relacjom i wspomnieniom uczestników i świadków wydarzeń, rekonstrukcyjnym pracom dokonanym przez historyków — umożliwiają już dziś, jak nigdy dotąd, zracjonalizowanie materii historycznej, wysunięcie pewnych osądów o charakterze generalizującym, zastanowienie się nad tym, jakie to nauki moralne płyną z polskich doświadczeń zdobytych w latach wielkiej próby dziejowej — wojny i okupacji.

Historia nie jest po prostu zbiorowiskiem faktów — jest nauką moralną. Winna w oparciu o doświadczenia pokoleń dawać drogowskazy i przestrogi w sensie ponadczasowym. Dla dobra więc współczesnego i dalszych pokoleń powinniśmy się właśnie zastanowić, jakie było zachowanie się Polaków w latach tej wielkiej dziejowej próby, jakie ujawnili oni predestynacje i postawy społeczne, jaki był ówczesny stan świadomości społecznej narodu, jego poszczególnych klas, warstw i środowisk, jaki w sumie był faktyczny wkład Polaków do tej wielkiej bitwy narodów i wreszcie czego nauczyli się oni w tej wojnie. Istotna też jest refleksja na temat, co należy z tradycji tych kultywować, a co poddawać rzeczowej krytyce. Czasy wielkich napięć, nieszczęść, kataklizmów, porywów wyzwoleńczych mają bowiem to do siebie, że ze szczególną siłą ujawniają właściwy charakter wielkich zbiorowisk społecznych zwanych narodami. Lata II wojny światowej były egzaminem bezwzględnym. Były jednym z największych sprawdzianów naszych narodowych wartości i naszego stanu moralnego.

Jeśli z tego punktu widzenia spojrzymy na postawę naszego narodu w latach okupacji hitlerowskiej, to na czoło wszelkich osądów i wartościowań należy wysunąć niezwykle wysoki stopień patriotyzmu, który ogarnął cały naród polski. Łączy się z tym sprawa dyspozycji duchowej — ów stan moralny wyrażający się w atawistycznej niezdolności do pogodzenia się z utratą niepodległości, gotowość świadczeń na rzecz niepodległości bez względu na straty i ofiary. I dodajmy od razu jeszcze jedno: Polacy przejawili niezwykłe, równie dziedziczone uzdolnienia do konspirowania.

Jest rzeczą oczywistą, że wszystkie te przejawy demonstrowaliśmy przecież nie po raz pierwszy. Mieliśmy bowiem poza sobą wiele okresów „burz i naporów" i w każdym z nich, począwszy od końca XVIII wieku, aż pięciu pokoleniom Polaków przyszło odpowiadać na owo słynne i celne pytanie postawione przez Naczelnika pierwszego w dziejach polskich powstania narodowego, Tadeusza Kościuszkę: „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość"? Jeden z rozdziałów tego swoistego testamentu nosił, przypomnę, tytuł: „Stan moralny Polaków", a cały utwór przywiązywał do tego właśnie największą wagę. I jak wiadomo, Polacy na to pytanie odpowiadali zawsze z godnym największego uznania czynem. Rzecz jednak w tym, że okres okupacji hitlerowskiej wniósł do tej karty dziejów istotne novum.

Myślę tu przede wszystkim o tym ważnym zjawisku, które określam jako „upatriotycznienie całego bez reszty narodu". W istocie bowiem po raz pierwszy w dziejach w takim zakresie decydująca część narodu, prawie wszystkie warstwy społeczne szerzej i głębiej niż dotychczas poczęły myśleć kategoriami narodu i państwa. Chodzi tu przede wszystkim o to, że obok warstw i klas społecznych, które tradycyjnie dawały największy wkład w dzieło walki o wyzwolenie narodowe, po raz pierwszy w takim zakresie wzięła udział polska wieś — polscy chłopi. Współczesna historiografia polska uzasadniła i utrwaliła już tezę, że w ciągu tysiącletniej tradycji państwa i narodu polskiego wieś polska, właśnie w II wojnie, jak nigdy dotąd, odegrała niezwykle aktywną rolę w dziele wyzwolenia, że wykazała wysoki poziom świadomości patriotycznej i zaangażowania na rzecz ojczyzny. Nie oznacza to, oczywiście, że przed II wojną światową chłopi polscy nie dali istotnego wkładu w to dzieło. Pamiętamy przecież Racławice, Stoczek, Wiosnę Ludów w 1848 roku, spisek księdza Ściegiennego, powstanie styczniowe, rewolucję 1905 roku i wiele innych epizodów i wydarzeń. Ale wiemy też, że pewne zjawiska natury klasowej utrudniały wciąż wzrost ich świadomości narodowej, że przecież poważna część chłopów polskich, nie ze swojej winy, zmuszona była traktować swoją ojczyznę nie jako „matkę, lecz macochę" i że to właśnie utrudniało im zajęcie w pełni zaangażowanego stanowiska. Sprawy te są na ogół znane.

Patrząc na polski ruch oporu w latach II wojny światowej odczuwamy wyraźnie, że pod tym względem był to okres przełomowy. Jeśli bowiem polski ruch oporu osiągnął w tych latach, na co wskazują ostatnie szacunki, liczbę ponad pół miliona członków, jeśli siły zbrojne tego ruchu, a więc partyzantka, osiągnęły przy końcu okupacji stan ponad 100 tys. uzbrojonych żołnierzy, jeśli w ogóle polskie i radzieckie oddziały partyzanckie mogły egzystować, prowadzić walkę, przemieszczać się, unikać zniszczenia przez okupanta, dokonywać akcji zbrojnych — należy to w dużej mierze zawdzięczać polskiej wsi, polskim chłopom. Wiemy też, że choćby ze względu na ówczesną strukturę społeczną państwa (chłopi stanowili 80% narodu) zarówno w organizacjach konspiracyjnych, jak i oddziałach partyzanckich tworzyli oni większość. Nie ma też dziś wątpliwości, że — jak stwierdzono już — wieś była ostoją ruchu partyzanckiego, żywiła oddziały, chroniła zagrożonych, była siedzibą terenowych dowództw, wspomagała miasto, sabotowała hitlerowską politykę ekonomiczną.

To masowe włączenie się wsi do walki o narodowe i społeczne wyzwolenie sprawiło właśnie, że w istocie, wyjąwszy wąskie marginalne grupy wywodzące się z klas posiadających, na barykadach stanął cały naród polski. Niewielu więc było tych, którzy na skutek nieprzejednanej postawy reakcyjno-politycznej szukali rozwiązań poza bezpośrednią walką zbrojną lub wywoływali walki bratobójcze (dotyczy to np. NSZ).

Drugi ważny osąd płynący z naszych doświadczeń lat okupacji, a tkwi on mocno w naszej obecnej świadomości społecznej i jest przedmiotem szczególnej dumy Polaków, dotyczy tego, że Polacy, jak prawie żaden z okupowanych krajów Europy, w zasadzie nie przejawili postawy kolaboracyjnej. Właściwie żadne środowisko społeczne, dodajmy, bo to ważne, na skutek określonego ciśnienia opinii publicznej, presji moralnej, ogólnej atmosfery, zdecydowanego potępienia itp., nie zdecydowało się na ten w istocie hańbiący i nie dający żadnych szans na realne korzyści krok. W każdym razie w Polsce nie przejawiła się kolaboracja o charakterze instytucjonalnym. Nawet te nikłe elementy, które zostały przez okupanta przymuszone do współdziałania (jak np. tzw. policja granatowa), prędzej czy później starały się w jakimś stopniu służyć narodowi, wiązały się z tą czy inną organizacją podziemną, spełniały swoje zadania opieszale lub wręcz działały na niekorzyść wroga. *Polska wyszła z tej wielkiej próby niezłomna i o czystym sumieniu.* I tę prawdę należy szeroko kultywować.

Wśród pozytywnych czynników charakterologicznych na uwagę zasługuje również owa niezwykła zdolność Polaków do oporu psychicznego i konspirowania. Była to niewątpliwie cecha wrodzona. Lecz okres okupacji wniósł i do tej dziedziny nowe znaczące wartości. Na pewne elementy dotyczące sposobu zachowywania się Polaków w niezwykle ciężkich warunkach narzuconych przez okupanta ciekawe i poznawcze światło rzucił szczególnie Czesław Madajczyk w swoim fundamentalnym dziele pt. „Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce". Mimo zagrożenia podstaw biologicznej egzystencji narodu, bezwzględnego reżimu, który był bez precedensu w skali całej okupowanej Europy, naród w swej masie zachował optymizm, pewien rodzaj zawadiactwa, niesłychany wręcz spryt i odporność psychiczną.

Partyzanci z oddziału BCh Antoniego Wróbla ps. Burza

Przypomnijmy sobie choćby owe najbardziej charakterystyczne fenomeny tego zjawiska. Oto np. jako swoiste antidotum na okrucieństwa okupanta Polacy stosowali zrodzony na ulicach miast i osiedli, w konspiracyjnych drukarniach i podziemnych kuźniach propagandy psychologicznej humor, mający tak wielkie znaczenie dla odzyskania, względnie utrzymania psychicznej równowagi. Cała gama drwiących piosenek i dowcipów, anegdot, niesłychanie zręczna „paskinada" (napisy na murach), dowcipne dezorientowanie nieprzyjaciela (choćby poprzez wysyłanie do niego „oryginalnych" wezwań na front wschodni) itd. — wszystko to okazało się niezwykle cenną bronią w walce.

Innym specyficznym przejawem polskich postaw był po mistrzowsku prowadzony „czarny rynek", na którym, wobec wygłodzeniowej polityki prowadzonej świadomie przez okupanta, opierało się głównie zaopatrzenie miast. Dopiero po wielu latach podniosły się głosy za jego rehabilitacją (wyjąwszy oczywiście przejawy patologiczne — nielegalny handel hurtowy, prowadzony do spółki z Niemcami). Wiele mieściło się w nim autentycznej otwartej walki z okupantem. Temu, że chłopi z narażeniem ukrywali bydło przed kolczykowaniem, że dokonywali nielegalnego uboju, że olbrzymia rzesza drobnych dostawców „szmuglowała" towar, że potrafiono korumpować członków okupacyjnego aparatu, że polska spółdzielczość przymuszona do funkcjonowania robiła wszystko, co było w jej mocy, dla dobra polskiego społeczeństwa, że nagminnie okradano okupanta — jakże wiele należy zawdzięczać. Sprawa ta nie znalazła jednak dotąd należytego oświetlenia i właściwego osądu, a jest przecież częścią wkładu do dziejów walki z okupantem. Bez „czarnego rynku" miastom groziła wręcz śmierć głodowa.

W ogóle łatwo dostrzec, że w naszej wizji lat okupacji hitlerowskiej przytłaczają sprawy zbrodni okupanta i walki ruchu oporu. A przecież musimy sobie zdać sprawę z tego, że pomiędzy tymi dominującymi i rzeczywiście najistotniejszymi biegunami toczyło się mimo wszystko owe codzienne, choć osobliwe, życie podstawowej masy narodu. Musiano po prostu egzystować, walczyć o zaopatrzenie swych rodzin, wytwarzać pewną nową obyczajowość, walczyć o zachowanie godności, unikać niebezpieczeństwa, prowadzić życie towarzyskie, zaspokajać swoje potrzeby duchowe. Ostatnie badania wskazują np. na fakt, że mimo tragicznych okoliczności i wbrew dążeniom okupanta naród potrafił w zasadzie utrzymać dynamikę rozwoju biologicznego. Mówi to przecież ogromnie dużo. Niezwykle interesującym przejawem było również zjawisko powszechnej solidarności (także w sensie międzywarstwowym), wzajemnej pomocy, ofiarności na rzecz innych, nawet nieznanych sobie ludzi (np. Żydów, jeńców radzieckich).

A przecież zdolności Polaków do konspirowania przejawiły się w jeszcze bardziej zaskakujących formach. Swoistym polskim fenomenem było funkcjonowanie tajnego szkolnictwa, co uznać należy w skali europejskich doświadczeń ruchu oporu za zjawisko niemal bezprecedensowe. Ogółem, jak podają współczesne szacunki, objęło ono aż około 1 miliona dzieci i młodzieży wszystkich szczebli nauczania. Według tych ustaleń co 3—4 uczeń uzupełniał wiadomości z przedmiotów zakazanych w legalnym szkolnictwie. Około 100 tys. młodzieży uczyło się w tajnych kompletach w zakresie szkolnictwa średniego, zakazanego przez okupanta. Tajne komplety gimnazjalne istniały w miejscowościach, gdzie dotąd nie było mowy o szkołach średnich, a po wojnie na ich doświadczeniach i kadrze powstały stałe szkoły tego typu. Naukę konspiracyjną podjęły prawie wszystkie przedwojenne uniwersytety (np. Uniwersytet Warszawski liczył aż 2 200 słuchaczy). W Warszawie powstał Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich z filiami w Kielcach, Jędrzejowie, Częstochowie i Milanówku. Działały również różnego typu wyższe kursy specjalne, jak handlu morskiego, zagospodarowania portów, Tajny Instytut Pedagogiczny, pedagogia, działał Tajny Związek Nauczycielstwa zrzeszający ok. 6 tys. członków, funkcjonowała Tajna Spółdzielnia Wydawnicza „Płomień" drukująca skrypty dla tajnego nauczania, ruch ludowy organizował tajne biblioteki wiejskie, organizacje konspiracyjne otaczały opieką szkolnictwo legalne i nauczycieli w nim pracujących.

Następnym fenomenem było wydawanie w trybie nielegalnym ogromnej ilości prasy, ulotek, broszur i książek. I to zjawisko jest w dużej mierze bezprecedensowe w dziejach okupowanej Europy. Według bardzo dokładnych danych polski front podziemny wydał (w różnym nakładzie, z różną częstotliwością i w różnym czasie) około 1500 tytułów czasopism (dla porównania: we Francji — ok. 1 tys., w Belgii — 300, w Danii — 250). A

Dalszy ciąg na str. 4

Kamena str. 3

POSTAWY POLAKÓW

Dalszy ciąg ze str. 3

przecież w Polsce wydawano w warunkach stosunkowo najcięższych, przy stałej groźbie kary śmierci nie tylko dla każdego edytora czy kolportera, ale i czytającego choćby jeden numer. Mimo to niektóre pisma osiągały nakłady kilkudziesięciotysięczne. Wydawano pisma polityczne, satyryczne, literackie, ilustrowane, a także w języku niemieckim, przeznaczone dla „rozmiękczania" wroga.

W działalności polskiego ruchu oporu zdumiewają nas dzisiaj takie przejawy, jak istnienie rozbudowanych organów podziemnego samorządu w postaci konspiracyjnych rad narodowych, delegatur, komisji itp. Pod ich auspicjami działały zalążki „polubownego sądownictwa", samopomocy, samoobrony itp. Zajęto się również takimi ważnymi dla przyszłości sprawami, jak ochrona majątku społecznego i narodowego, planowaniem przebudowy społecznej, reform itp. Zdumiewać nas może dzisiaj np. fakt powołania przez ruch ludowy specjalnych oddziałów do ochrony lasów, czy podjęcia przez ten ruch konspiracyjnego sadzenia lasów. Wszędzie, gdzie się dało, komórki PPR spisywały majątki obszarnicze i wyłaniały komitety folwarczne do przyszłego podziału ziemi. W Krasnostawskiem członkowie Stronnictwa Ludowego wyłonili Instytut Kultury Ludowej, zorganizowali konspiracyjny teatr ludowy, wydawali tajne pisemko dla dzieci.

Patrząc z perspektywy dziejowej na ten okres, godzi się raz jeszcze podkreślić masowość zorganizowanego ruchu oporu. Kraj nasz bowiem w okupowanej Europie należy do tych, które zdołały wyłonić stosunkowo najliczniejsze szeregi bojowników i to w warunkach najbardziej ludobójczej polityki (zbliżone do tego warunki panowały jedynie na okupowanych terytoriach Związku Radzieckiego i Jugosławii). Ogółem w okupowanej Europie antyhitlerowski ruch podziemny zrzeszał około 4—5 milionów członków, z tego ponad pół miliona w Polsce. Stanowiło to ok. 2% narodu. Podobny procent ludności zaangażowanej w bezpośrednim ruchu oporu posiadały tylko: Związek Radziecki (1,2 mln), Jugosławia (0,5 mln). W innych krajach liczebność ruchu oporu wynosiła: w Grecji ok. 120 tys., we Francji ok. 0,5 mln., w Bułgarii — 30 tys., w Albanii — 70 tys., w Czechosłowacji — kilkadziesiąt tysięcy.

Dokładna liczba osób zaangażowanych w polskim ruchu oporu nie jest łatwa do ustalenia. W ostatniej fazie okupacji na skutek zepchnięcia z terenu mniejszych posterunków policji i oddziałów wojska, w wielu regionach kraju powstały swoiste „rzeczpospolite partyzanckie", w których ruch oporu i partyzantka występowały niemal otwarcie, wiążąc ze sobą całe rodziny, osiedla i wsie. Z drugiej strony niektóre organizacje konspiracyjne (np. PPR) nie przywiązywały nadmiernej wagi do sprawy zaprzysiężenia, ewidencji itp. Gdyby więc wziąć pod uwagę wszystkich tych, którzy nie składając przysięgi współdziałali z ruchem oporu i partyzantką, ogólna liczba członków ruchu oporu wzrosłaby niewątpliwie do miliona.

W źródłach i wspomnieniach z lat okupacji znajdujemy przecież tak wiele przekazów o tym, jak to w okresie wiosennej ofensywy partyzanckiej w 1944 roku niemal jawnie stacjonowały we wsiach oddziały partyzanckie, jak organizowano otwarte wiece dla ludności, obchodzono w leśnych bazach z udziałem mieszkańców wsi święta narodowe (np. ludowe, 1- czy 3-majowe), jak liczne były szeregi „samoobrony" przed uderzeniami sotni UPA... Już od połowy 1943 roku wiele regionów kraju było kontrolowanych przez okupanta tylko dorywczo i to siłami co najwyżej plutonu czy kompanii. Nocami, a nieraz przez całe dnie w terenie dominowali partyzanci, swobodnie operując we wsiach i w lasach na oczach sprzyjającej i rozentuzjazmowanej ludności. I wówczas zarówno szeregi członków jak i sympatyków ruchu rosły, chociaż nie znajdowało to odzwierciedlenia w ewidencjach czy statystykach. W każdym razie Polska obok ZSRR i Jugosławii należy do krajów, które wyłoniły najliczniejszy i najbitniejszy ruch oporu i partyzantkę.

Istotnym wyznacznikiem siły i znaczenia ruchu oporu w tych latach była liczebność i operatywność oddziałów partyzanckich. I pod tym względem Polska zajmuje jedno z czołowych miejsc. Oblicza się bowiem obecnie (choćby w encyklopedii II wojny światowej), że w polskich oddziałach partyzanckich przy końcu okupacji znajdowało się ok. 130 tysięcy uzbrojonych ludzi. Istotne jest i to, że oddziały takie formowaliśmy stosunkowo wcześnie — jeszcze w toku trwającej kampanii wrześniowej (zgrupowanie mjr. Hubala). Później, na skutek niesprzyjającej sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej, ruch partyzancki nieco osłabł, by w 1942 roku (pod wpływem PPR) od razu przybrać duże rozmiary. Przy końcu tego roku na ziemiach polskich operowało już bowiem ok. 50 większych grup lub oddziałów i miały one już poza sobą wiele akcji bojowych, a nawet bitew (pod Wojdą czy w lasach parczewskich).

Odtąd ruch partyzancki rósł nieustannie zarówno pod względem liczbowym jak i jakościowym. W 1943 roku Gwardia Ludowa, formacja zbrojna PPR, wyłoniła na Lubelszczyźnie kilka batalionów (każdy w sile ok. 100 partyzantów), a w 1944 roku w całej centralnej części ziem polskich pojawiły się brygady (ponad 10, każda w sile ok. 1000 żołnierzy), zalążki pułków (np. 9 pułk piechoty na Zamojszczyźnie), a nawet dywizji (27 dywizja AK na Wołyniu w sile kilku tysięcy partyzantów). Pod koniec okupacji na ziemiach polskich operowało kilkaset oddziałów i grup partyzanckich o różnej sile uderzeniowej. Wszystkie one posiadały na ogół dobre uzbrojenie (zebrane na polach wojny 1939 roku, pochodzące ze zrzutów, zdobyte na nieprzyjacielu lub wyprodukowane w konspiracyjnych wytwórniach) i doświadczone dowództwa, ale nie zawsze dogodne warunki do operacji.

Godzi się wskazać na zdolności polskiego ruchu oporu w przystosowywaniu taktyki walki tych oddziałów do istniejących warunków geograficznych. Obok bowiem oddziałów „leśnych" mających swe stałe bazy w trudniej dostępnych kompleksach leśnych, operowały oddziały „lotne" znajdujące, wobec braku większych lasów, oparcie w odległych od traktów wsiach, koloniach, osadach itp. Zmieniając często kwatery i miejsca postoju, zręcznie lawirowały i będąc nieuchwytne, zadawały okupantowi ogromne straty. Nękały okupanta również oddziały typu garnizonowego (wypadówki GL i AL, Oddziały Specjalne BCh, grupy kedywu AK), które niejednokrotnie dla wykonania większych akcji doraźnie łączono w większe zgrupowania, rozwiązywane po zrealizowaniu zadania. I ta taktyka, jak wskazują hitlerowskie raporty, była dla okupanta szczególnie uciążliwa.

Dokończenie nastąpi.

NA ZAWSZE Z KSIĄŻKĄ

ZPOCZĄTKIEM bieżącego roku odchodzi na emeryturę zastępca dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, mgr Maria Gawarecka. Ponad trzydzieści lat w służbie upowszechniania książki, prace organizacyjne dające początek wielu placówkom bibliotecznym, udział w szeregu inicjatyw kulturalnych miasta i województwa — oto rezultat Jej dotychczasowej obecności w środowisku lubelskim. Mówimy o dotychczasowej, ponieważ Maria Gawarecka nie zamierza zaniechać swych kontaktów z pracą polegającą na podnoszeniu kultury regionu, co jest jeszcze jednym powodem do serdecznych gratulacji. Składając je i życząc dalszych dokonań, dziękujemy za rozmowę przeprowadzoną z przedstawicielem naszej redakcji.

— Pani Dyrektor, nie odejdziemy od schematu. Rok 1945 to pierwszy Pani krok w Lublinie. Co przedtem?

— Przed wojną studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim u prof. Marcelego Handelsmana, autora słynnej „Historyki". Nie bez wpływu na moje zainteresowanie tym przedmiotem pozostała nauczycielka gimnazjum Konopnickiej, Halina Mrozowska. Również wiele wdzięczności winna jestem prof. Henrykowi Elzenbergowi, który mnie uczył łaciny. To studia. Ale pociągało mnie również bezpośrednie życie, dlatego wstąpiłam na wydział konsularny Wyższej Szkoły Nauk Politycznych. Chodziło o możność wyjazdów zagranicznych i ta się zrealizowała. Przez rok byłam we Włoszech. W archiwum watykańskim zebrałam wtedy wiele materiału do pracy doktorskiej prowadzonej pod kierunkiem prof. Handelsmana na temat konkordatu z roku 1736. Pełnomocnikiem królewskim był wówczas wojewoda sandomierski, a później lubelski, Jan Tarło, które to nazwisko jest znane lubelskiemu czytelnikowi. Niestety, materiały spłonęły z całym domem w czasie powstania warszawskiego. Została mi garstka popiołu.

— Ale słoneczna Italia...

— Oczywiście. Być w Rzymie to odmłodnieć o kilkanaście wieków. Przez rok byłam współczesną Hadriana i Seneki. Nagromadzenie reliktów przeszłości tak wielkie, że czułam wprost głębokie zanurzenie w historię, kulturę, sztukę.

— Kontakt z książką sprawia, że to zanurzenie nie ustaje w Pani latach powojennych, a nawet wzbogaciło się o szereg działań praktycznych. Jak to wyglądało na początku?

— Po przyjeździe do Lublina zaczęłam od organizowania lubelskiej biblioteki powiatowej. W latach 1946—1951 pracowałam w Kuratorium w Wydziale Oświaty Dorosłych jako wizytator szkół ze specjalnością do spraw samokształcenia i czytelnictwa. Następnie wróciłam do biblioteki, tym razem nowo powstałej wojewódzkiej, która w roku 1955 połączyła się z Biblioteką im. Łopacińskiego. Tu przypadła cała reszta mojej pracy zawodowej.

— Czy można spytać, jakie w niej momenty wspomina Pani z największą przyjemnością?

— Wbrew dość powszechnemu gustowi lubiłam wyjazdy w teren. To mi dawało możność stykania się z nowymi ludźmi, uczestniczenia w narodzinach nowych przedsięwzięć. Pod tym względem jestem trochę niespokojnym duchem. Pociąga mnie okres rozruchu, znajdowanie form społecznego życia dla świeżo wyklutych inicjatyw. Ten czas w Alejach Racławickich, to znaczy w bibliotece wojewódzkiej, kiedy nic jeszcze nie było wprowadzone w utarte koleiny, w związku z czym pole dla prób otwierało się szeroko, wspominam żywo i z dużym sentymentem. No, jeszcze wydawnictwo „Hieronim Łopaciński i biblioteka jego imienia w Lublinie 1907—1957" Jeszcze Koło Miłośników Książki i Ekslibrisu. Mam dużo przywiązania do miejsca. Stąd do każdego, z którym złączyła mnie praca, zawsze wracam czułą pamięcią. Do miejsc, do ludzi.

Maria Gawarecka

— A jak Pani ocenia charakter zapotrzebowań kulturalnych w świetle swoich doświadczeń zawodowych? Co się zmieniło i w związku z tym jakimi metodycznymi środkami powinien dziś posługiwać się działacz kultury?

— Zmieniło się wiele. Skład demograficzny ludności w miastach. Cenzus wykształcenia. Stopa życiowa w sensie nie tylko poziomu spożycia, ale udziału w życiu społecznym. Obyczajowość. Wyposażenie techniczne, z czym łączy się weście nowych środków przekazu z telewizją na czele. To wszystko musiało wpłynąć na nowy rodzaj zapotrzebowań kulturalnych, ale byłabym hipokrytką, gdybym stwierdziła, że zawsze w sposób dodatni. Nie potrzebuję powtarzać. Ujemne strony dzisiejszej cywilizacji technicznej są znane i żadna publicystyka nie kryje ich pod korcem. Co natomiast uważam za potrzebne: zrehumanizować stosunek do kultury. To znaczy działać na rzecz powrotu tych wartości, które w układzie M-4 — Fiat 125p czują się wyalienowane. I bynajmniej nie uważam się w tym za niepoprawną optymistkę. Obiektywne prawa życiowego rozwoju nie wykluczają tego subiektywnego czynnika, jakim jest działanie. Cywilizacja ludzi nie może przestać być cywilizacją dla ludzi. Zresztą przyjrzawszy się dobrze współczesności możemy stwierdzić, że ten optymizm ma swoje uzasadnienie. Zdawkowy, czysto konsumpcyjny stosunek do kultury zaczyna nie wystarczać. Prawie do potocznego języka wszedł Gałczyńskiego zwrot „ocalić od zapomnienia". W tym samym wierszu, z którego ów zwrot pochodzi, jest również „jesteśmy w pół drogi". Oba znakomicie się komponują. Jeszcze nie wiemy, jakie treści przyniesie z sobą przełom wieku XXI. Nie przypuszczam, by był to sam ekstrakt technicyzmu. Weźmy przykład z niedalekiej przeszłości. Futuryzm ze swą opozycją wobec natury żył bardzo krótko i wcale nie najdłużej w krajach wysoko rozwiniętych. Prawem analogii możemy przypuszczać, że coś podobnego stanie się obecnie: do kryzysów, które dziś są w modzie, doliczymy kryzys ultranowoczesności. Może mi pan wierzyć. Mówi to „rówieśniczka" cesarzy rzymskich. A przynajmniej króla polskiego Augusta III — sygnatariusza nieszczęsnego dla mnie konkordatu.

— Jakim sprawom poświęci Pani swój czas w najbliższej przyszłości?

— Krótko: książce i Lublinowi. Tym zajęciom, które mają na celu przyczynić się do ożywienia życia kulturalnego w naszym mieście za pośrednictwem form związanych z czytelnictwem, bibliofilstwem, ruchem stowarzyszenia bibliotekarzy. Przede wszystkim, ale nie tylko. Chętnie znajdę się w kontakcie z każdym gronem osób, które w swej działalności podejmuje sprawy bliskie moim zainteresowaniom. Czy brzmi to zanadto deklaratywnie? W takim razie uzależnijmy to od zdrowia...

— ...którego niech mi będzie wolno nie [illegible] w swoim imieniu jak najwięcej serdecznie życzyć.

Pytał i notował:
Zygmunt Mikulski

Kamena str. 4

Co lubią w Austrii?

Ireneusz J. Kamiński

JEŻELI Państwo interesujecie się zabytkami sztuki, malarstwem, muzyką, sztuką ludową, winobraniem, dobrą kuchnią czy po prostu sztuką używania życia — jedźcie do Austrii! — zachęca reklama warszawskiej placówki Austrian Airlines przy ul. Szpitalnej 6. Jako człowiek serdecznie rozmiłowany w polskim kotlecie schabowym oraz golonce, nie bardzo wierzę w owe zapewnienia o dobrej kuchni austriackiej (czy jakiejkolwiek innej na świecie), ale poza tym nie wątpię, że cytowana oferta przylega do rzeczywistości. Ostatecznie, to nad Dunajem powstała przy końcu minionego wieku Wiedeńska Secesja, stowarzyszenie artystyczne, od którego wywodzi się nazwa cenionego dziś kierunku w sztuce, obejmującego swoim zasięgiem to, co niewątpliwie wzniosłe i bardzo uduchowione oraz to, co w zwyczajność zepchnęliśmy nazywając przedmiotami użytkowymi vel krzesłami, stołami, lampami. Artyści spod znaku secesji malowali tajemnicze ogrody z wielkimi ważkami, smutne i piękne kobiety postępujące z mężczyznami niemal jak modliszki ze swymi samcami, a zaraz potem ci sami twórcy brali się za projektowanie plakatów, żydli, wnętrz mieszkalnych. Secesja kształtowała rzeczy piękne i pożyteczne, a kto nie wierzy, niech przejedzie się do muzeum w Płocku, albo przypatrzy się uważniej budynkom przy ul. Chopina w Lublinie. Najlepiej wyprawić się jednak do Wiednia, który przed laty był jednym z głównych ośrodków secesji, pod przewodem Gustawa Klimta oddziałującym na całą Europę. Żywe kontakty utrzymywali z nim tacy polscy malarze, jak Teodor Axentowicz, Julian Fałat, Józef Mehoffer, Jacek Malczewski czy Stanisław Wyspiański.

Reklamę austriackich linii lotniczych uwierzytelniają też przypadki świeższej daty. Warszawianin Jacek Łukaszczyk pojawił się nad Dunajem w 1961 roku, aby kontynuować studia w Wiedeńskiej Akademii Muzycznej. Absolwent stołecznej PWSM trafił do klasy Hansa Jellinka (kompozycja) i Bruno Seidelhoffera (fortepian), no i ostatecznie zainstalował się na stałe w Austrii, otrzymując profesurę w wyższej szkole muzycznej w Grazu, który przed wiekami zwał się Grodziec. Stolica kraju związkowego Styrii liczy około 300 tysięcy mieszkańców, jest drugim pod względem wielkości miastem Austrii, posiada kilka wiekowych uczelni (uniwersytet od 1585 roku), wielki przemysł, lotnisko, świetne zabytki i galerie malarstwa. Położony nad rzeką Murą, niedaleko Alp, Graz przez cały rok narażony jest na inwazję turystów, przede wszystkim z RFN, co jednak nie przeraża tubylców, bo sklepy są tam dobrze zaopatrzone, a hotelików mnóstwo. Hochdeutsch słychać na każdym kroku, co nie takie znów oczywiste, albowiem prywatnie, a nawet w parlamencie, Austriacy posługują się dialektami, różniącymi się nieco od klasycznego języka niemieckiego. Ten ton odrębny przestał być modą, jest wyrazem daleko poważniejszego zjawiska.

Jacek Łukaszczyk zadomowił się w Austrii. *Odpowiada mi tamtejsza mentalność, opanowanie ludzi, tolerancja dla innych narodowości. Mówiąc krótko, dobrze się czuję w Austrii.*

Potomkowie generacji z czasów Franciszka Józefa twierdzą, że w każdym z nich płynie co nieco obcej krwi, a najwięcej to chyba słowiańskiej. Cokolwiek by się rzekło o starym cesarzu, trudno sponiewierać go mianem szubrawca w stylu cara czy kajzera. Monarchia Austro-Węgierska prowadziła dość zręczną politykę narodowościową, obdarzając podbite kraje pewną autonomią, umożliwiając rozwój różnych kultur i osadzając na eksponowanych stanowiskach państwowych Polaków czy Czechów. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia premierem rządu wiedeńskiego był Kazimierz Badeni, ministrem skarbu — wyjątkowo zręczny Leon Biliński, spraw zagranicznych — Agenor Gołuchowski młodszy, resortu dla Galicji — dramatopisarz i prozaik Tadeusz Rittner, pochodzący z całkowicie spolonizowanej rodziny niemieckiej i piszący swe oryginalne komedie i inne sztuki w dwóch językach. Kiedy w tym właśnie okresie prezydentem Izby Poselskiej wybrano naszego rodaka, w kuluarach politycznych Wiednia zaczęto mówić, że „po raz pierwszy od rozbioru Polski rządzą Polacy". W rezultacie starzy krakowianie do dziś z pewnym sentymentem wspominają Franciszka Józefa i podzielają jego słabość do malarstwa w rodzaju tego, które uprawiał Wojciech Kossak, protegowany monarchy.

Polacy w oczach współczesnych Austriaków — mówi Jacek Łukaszczyk — *to ludzie dumni i szlachetni. W operetce wiedeńskiej nadal śpiewa się o Polkach, że wdzięk posiadają nieosiągalny.* Miło nam z tego powodu, choć nie ukrywamy, że bardziej interesują nas „steyery" i umowy kooperacyjne podpisane z tamtejszymi firmami, czy współdziałanie z operatywnym Centro — Internationale Handelsbank AG w Wiedniu.

Historia wykształciła w Austriakach skłonność do kompromisu i tolerancji, co oczywiście nie znaczy, że każdego cudzoziemca chętnie biorą w ramiona. Przeciętny obywatel tego kraju z wyraźną rezerwą odnosi się do bałkańskich czy tureckich gastarbeiterów, choć instytucje państwowe zachęcają do zbratania. Na słupach ogłoszeniowych Wiednia spotyka się plakaty, które przedstawiają rosłego robotnika cudzoziemskiego i tubylcze dziecię. Malec pyta: „Ja się nazywam Kolarič, ty się nazywasz Kolarič, więc dlaczego wszyscy mówią na ciebie tchusch?!" W ten sposób przypomina się Austriakom, że nie pochodzą od jednej mamy i kiedy rzucają w stronę zapracowanych południowców pogardliwe tchusch, obrażają samych siebie. Dla świętego spokoju dodajmy, że Polacy nie należą do tej grupy obcokrajowców, o których pełne równouprawnienie muszą zabiegać władze austriackie. Zadecydowała o tym historia, aczkolwiek i teraz zaczynamy stwarzać fakty budzące tam sympatię. Jeśli bowiem polskie zamówienia uchroniły „Steyera" przed redukcją załogi...

Austria jest krajem niewielkim, ale zamożnym, a jedno z drugim się wiąże. Mniejsze państwa łatwiej przechodzą recesję, szybciej dostosowują się do zmian w koniunkturze. Tak przynajmniej twierdzą wiedeńczycy. Zwróćmy przy tym uwagę, że w Austrii nie ma właściwie strajków, radykalnych ugrupowań lewackich czy burzliwych demonstracji ulicznych. Większe zgromadzenia tworzą się tylko wokół sklepów, które w ramach reklamowej premiery, w dniu otwarcia interesu, rozdają szanownej klienteli np. tysiąc zegarków za darmo. Oczywiście, nie są to wyroby pewnej firmy szwajcarskiej, założonej w XIX wieku przez lubelskiego rodaka o nazwisku Patek.

To nie są bajki dla dzieci Mormonów: Austriacy dorobili się własną pracą, oszczędnością i spokojem. Wydaje się, że ten ostatni moment szczególnie sobie cenią.

Profesor Jacek Łukaszczyk wykłada w szkole oraz występuje na koncertach pianistycznych w Austrii i RFN, gdzie mieszka jego brat, Maciej, również pianista, a przy tym współzałożyciel Towarzystwa im. Chopina. W poniedziałki i wtorki pan Łukaszczyk, mężczyzna dobrze zbudowany, wystarczająco wysoki — przebywa w Grazu, od rana do wieczora prowadząc zajęcia ze studentami. Potem wraca do Wiednia i zabiera się do podnoszenia własnych umiejętności muzycznych, wyprawiając się także z koncertami. Niejednokrotnie dociera aż do Polski; w 1975 roku nagrał wraz z bratem płytę w Warszawie. Jako człowiek bywały, orientuje się dobrze w naszym życiu muzycznym, bywał na „Warszawskich Jesieniach". I oto Jacek Łukaszczyk oświadcza, że słuchaczy jest w Wiedniu nie więcej, niż trzy tysiące osób. *Oczywiście, Austriacy to naród bardzo muzykalny, wychowany na świetnej tradycji i do tej tradycji najchętniej wracający. Ogromnym powodzeniem cieszy się opera, co zadaje kłam opiniom o kryzysie tego gatunku. Jeśli opera umrze, to na pewno nie w Wiedniu, którego publiczność przepada na dodatek za gwiazdami: solistami i dyrygentami. Występy Teresy Żylis-Gary, Wiesława Ochmana, Włoszki Mirelli Freni czy Jugosłowianki Mulinari oklaskiwane są i przez 40 minut po zakończeniu przedstawienia. Więc gwiazdy wychodzą przed kurtynę kilkanaście razy — im więcej, tym lepiej. W tej sytuacji przebicie się nowego nazwiska, nowej indywidualności jest szalenie trudne.*

Budynek opery wiedeńskiej liczy około 100 lat i usytuowany jest w centrum miasta, co uniemożliwia rozbudowę obiektu. Kameralnym zespołom uprawiającym muzykę awangardową — „Kontrapunkte" Keuschinga i „Die Reihe" Cerhy — patronuje radio stołeczne. Tradycyjne upodobania nie przeszkadzają przecież publiczności austriackiej w szturmowaniu sal koncertowych, w których dyrygują np. Krzysztof Penderecki czy Witold Lutosławski. Inna sprawa, że pokaźna część słuchaczy czyni to z obowiązku natury towarzyskiej. Panowie z society pojawiają się wówczas w smokingach, panie — w etolach.

Austriacy cenią sobie spokój, tradycje i zasady. Kilka lat temu w auli uniwersytetu wiedeńskiego wystąpił ambitny Otto Mühll ze swoją kooperatywą. Po wypatroszeniu prosiaka panienki z grupy zaczęły tarzać się we wnętrznościach poczciwego zwierzaka, demonstrując niesłychaną sprawność w łamaniu tabu i elementarnego poczucia godności ludzkiej. Biologia obdarzyła zresztą członków grupy szeregiem innych umiejętności, raczej erotycznych. Więc władze austriackie po prostu odmówiły jej prawa do publicznych występów i sekta mistrza Mühlla przeniosła się do RFN, gdzie na takie historie patrzą pobłażliwiej. Wkrótce ludzie ci powrócili jednak do Austrii, założyli coś w rodzaju samowystarczalnej spółdzielni produkcyjnej czyli komuny rolnej, ale nie trwało to długo, ponieważ ich potomstwo z nudów podpaliło siedzibę wybitnych awangardzistów. *No nie* — komentuje Jacek Łukaszczyk — *to nie miało nic wspólnego z awangardą. Także w sztuce istnieją granice, których nie wolno przekraczać.*

Austriaków oburzają zjawiska ekstremalne, cenzura obyczajowa ściga handlarzy pornografią, a dyskusje telewizyjne z udziałem lewaków odbywają się, owszem, lecz w drugim, nocnym programie, kiedy prawowici obywatele przewracają się w łóżkach w błogich marzeniach sennych. Takie ustawienie programu nie wynika z jakichś arbitralnych, urzędowych decyzji, lecz wyraża społeczne preferencje i oczekiwania.

Prof. Jacek Łukaszczyk

Fot. Andrzej Polakowski

Muzyka jest niewątpliwie sztuką najbardziej popularną, ale Austriacy chętnie chwalą się także malarstwem „wiedeńskiego realizmu fantastycznego". Jeden z czołowych przedstawicieli tej szkoły, Erich Brauer, wystawiał niedawno w Polsce, w warszawskiej galerii „Zapiecek". Liczący 48 lat wiedeńczyk, syn rzemieślnika, maluje figuralne, metaforyczne obrazy o wyrafinowanych wartościach pikturalnych, w których oczywiście pojawiają się echa secesji. Swego czasu Brauer występował w Paryżu także jako śpiewak uliczny, a w 1971 roku firma Polydor wydała płyty pt. „Arik Brauer LP", zawierające poezję liryczną i kompozycje muzyczne artysty, które błyskawicznie znalazły nabywców. Tego rodzaju podwójna profesja nie może dziwić w kraju, w którym każde mniejsze miasto posiada urząd dyrektora muzycznego, zajmującego się organizowaniem koncertów, ustalaniem repertuaru etc.

Malarstwo czołowych przedstawicieli realizmu fantastycznego jest jakby przesłodzone — dodaje Jacek Łukaszczyk — *co zresztą typowe dla plastyki austriackiej. Za swoje obrazy osiągają oni wysokie ceny, ale młodzież artystyczna musi ciężko walczyć o wejście na rynek. Wiedeńczycy chętnie oglądają obrazy, ale rzadko je kupują.* Skąd my to znamy?

Pozyskanie klienta — to sprawa pierwszorzędnej wagi w systemie komercyjnym. Więc na przykład teatrzyki studenckie często eksponują na scenie erotyzm i agresywne w tonie sztuki awangardy niemieckiej, ale tego rodzaju przedstawienia możliwe są tylko w małych salach. Masowa publiczność nie znosi ani ekshibicji, ani radykalizmu. Cieszący się popularnością i wielkim sentymentem wiedeńczyków Burgtheater, czołowa scena Austrii, preferuje klasykę (choć nie stroni od współczesności) w inscenizacjach opartych na solidnym warsztacie aktorskim i wykazujących pewne związki z ekspresjonizmem.

Wyłącznie komercjalne względy profilują produkcję kinematografii austriackiej. Czasy świetności sztuki filmowej należą w tym kraju do przeszłości, wielkie hale zdjęciowe Wiednia stoją puste, albo korzysta z nich telewizja. Czasami kręcą tam Amerykanie.

•

W środy, czwartki i piątki profesor Jacek Łukaszczyk występuje z koncertami — Chopin, klasyka wiedeńska, współczesność — a w soboty i niedziele zajmuje się sprawami urzędowymi Związku Polaków w Austrii „Strzecha", który istnieje już ponad 80 pracowitych lat i skupia obecnie około tysiąca członków. Profesor Łukaszczyk jest prezesem „Strzechy" (i jednym z zastępców sekretarza generalnego Międzynarodowego Towarzystwa im. Chopina w Wiedniu, któremu przewodzi znany w Lublinie dr Theodor Kanitzer).

Mamy rozległe plany rozwojowe, zamierzamy np. przebudować i zmodernizować wiedeńską siedzibę „Strzechy", zreformować wydawnictwo, upamiętnić trzechsetną rocznicę zwycięstwa króla Jana. Niektóre nasze poczynania wspomagają instytucje z kraju. Bardzo dobrze układa nam się współpraca z Towarzystwem „Polonia" i z lubelskim Polonijnym Centrum Kulturalno-Oświatowym UMCS, które miałem przyjemność odwiedzić w styczniu. Po raz pierwszy byłem w Lublinie kilkanaście lat temu, dając koncert dyplomowy z orkiestrą tutejszej filharmonii. Dzisiaj, no cóż — nie poznałem miasta, tak urosło...

NASZ MAKROREGION

Jerzy Dostatni

PRZYZWYCZAILIŚMY się — nie tylko przez ostatnie 30 lat — widzieć i rozwiązywać wiele spraw w skali województw, zapominając, że właściwie są to organizmy o charakterze administracyjnym, które jakoś niepostrzeżenie przekształciły się w organizmy społeczno-gospodarcze. Ich rola i funkcja była wyznaczona dosyć sztucznie przecież wykreślonymi granicami, które nazbyt często rozdzielały problemy, zamiast je grupować według jakichś zasad, wspólnych dla całego kraju.

Reforma administracyjna podzieliła tradycyjne województwa na dwa, trzy, czasem nawet cztery jednostki administracyjne, przy czym dawne granice wcale nie były obowiązujące dla nowo powstających. To usprawniło zarządzanie, przybliżyło władzę do obywatela i odwrotnie, ale jednocześnie zrodziło pytanie, czy pokawałkowany administracyjnie kraj na 49 jednostek nie stanie się również pokawałkowanym organizmem gospodarczym.

W warunkach gospodarki planowej tego typu rozważanie jest nonsensowne. Trzeba przypomnieć, że równocześnie podzielono kraj na osiem tzw. makroregionów, grupując po kilka nowych województw. Podział przebiegał jednak nie według dawnych granic administracyjnych, lecz grupował regiony o podobnej strukturze społeczno-gospodarczej, podobnych osiągnięciach czy zaniedbaniach, podobnych możliwościach, a przede wszystkim o podobnych funkcjach, jakie te regiony mają pełnić we wszystkich podstawowych formach życia kraju.

Lublin stał się centralnym ośrodkiem makroregionu środkowo-wschodniego. O wyborze zadecydowały: wielkość miasta, jego centralne położenie, potencjał gospodarczy, waga ośrodka naukowego, a także inne czynniki, tradycji nie pomijając. Makroregion obejmuje województwa: bialskopodlaskie, chełmskie, lubelskie, siedleckie i zamojskie — razem ponad dziesiątą część kraju. Ponad 6,5 tys. kilometrów kwadratowych więcej, niż dawne województwo lubelskie. I przy 2,5 mln mieszkańców — o pół miliona więcej. Trzeba jednak zaraz dodać, że makroregion nie jest jednostką administracyjną, nie sprawuje żadnych funkcji zwierzchnich nad wchodzącymi w jego skład województwami. Jest to pojęcie czysto planistyczne i to służące perspektywicznemu planowi zagospodarowania przestrzennego kraju w pierwszym, a regionu w drugim rzędzie. Działająca w Lublinie nieliczna osobowo, ale grupująca wybitnych specjalistów komórka, nazywająca się „Komisja Planowania przy Radzie Ministrów — Zespół Planowania Regionalnego w Lublinie", nie opracowuje żadnych planów rocznych czy pięcioletnich. Te plany tylko opiniuje i koordynuje przy pomocy Komisji Rozwoju Makroregionu, w której skład wchodzi po pięć osób z każdego województwa.

Komisja Planowania przy Radzie Ministrów — Zespół Planowania Regionalnego w Lublinie — dla uproszczenia nazywajmy tę komórkę Zespołem — w końcu czerwca ub. roku zakończyła opracowywanie pierwszej wersji planu rozwoju społeczno-gospodarczego i przestrzennego zagospodarowania makroregionu do roku 1990. Wbrew pozorom opracowań tych nie stworzono na kolanie, wykorzystano bowiem wiele materiałów zgromadzonych poprzednio. Ta pierwsza wersja jest obecnie opiniowana przez odpowiednie zespoły Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, a po dalszych konsultacjach druga wersja zostanie w maju przedłożona najwyższym władzom państwowym. Po zatwierdzeniu lub wprowadzeniu ewentualnych poprawek czy uzupełnień stanie się, wraz z siedmioma podobnymi opracowaniami dla innych makroregionów, dokumentem obowiązującym we wszystkich dziedzinach i formach naszego życia społeczno-gospodarczego.

Oczywiście tzw. życie może wprowadzać później pewne korekty, nie zmienia to jednak faktu, że po raz pierwszy w naszej historii będziemy mieli jasno określone kierunki działania na lat 15, z perspektywą ich dalszego kontynuowania. I po raz pierwszy — przynajmniej w skali kraju — nie plany pięcioletnie będą decydowały o kształcie zagospodarowania przestrzennego, ale odwrotnie — zagospodarowanie przestrzenne stanie się źródłem konkretnego już planowania społeczno-gospodarczego na okres pięcioletni.

Jakie więc będą ustalone już główne kierunki rozwoju naszego makroregionu środkowo-wschodniego?

Podstawowym działem gospodarki jest i będzie rolnictwo, w którym dziś pracuje 51 proc. mieszkańców. Posiadamy przecież 700 tys. ha gleb bardzo dobrych i dobrych, a rejon kanału Wieprz-Krzna obejmuje 495 tys. ha użytków rolnych. Oba kompleksy należą do największych w kraju i chociaż ten drugi nie jest jeszcze w pełni zagospodarowany (rząd przyznał już na ten cel 20 miliardów złotych), to przecież w gospodarce żywnościowej kraju powinny one odgrywać znacznie większą niż dotychczas rolę. Nie chodzi tu tylko o samą produkcję, ale również o przemysł rolno-spożywczy, który wytworzone tu surowce rolnicze powinien przerabiać na miejscu i to na produkty coraz bardziej uszlachetnione. Postępująca ze względów biologicznych zmiana struktury własnościowej rolnictwa, dziś jeszcze bardzo przestarzała, będzie miała wielorakie następstwa. Przewiduje się,

PROBLEMY KRAINY UŚMIECHU

Mirosław Derecki

TALENTY nie rodzą się na kamieniu... Kiedy Jerzy Golfert zadebiutował jesienią 1947 r. na deskach lubelskiego Teatru Muzycznego rolą Rossillona w „Wesołej wdówce", ówczesny recenzent „Życia Lubelskiego", prof. Stanisław Papierkowski, napisał o nim bez ogródek, że „ciągle jeszcze tylko śpiewa — wprawdzie bardzo pięknie, ale w operetce trzeba także grać". Jednak już na następnej premierze, Kalmanowskiej „Hrabinie Maricy", miał jakoby Papierkowski wkroczyć podczas przerwy za kulisy wołając głośno: „gdzie jest Golfert, dajcie mi Golferta!", po czym serdecznie ucałował młodego artystę oświadczając, że zrobił mu on wielką niespodziankę — właśnie jako aktor. Dostrzegł pracę, jaką w ciągu kilku miesięcy włożył przyszły pierwszy amant i ulubieniec lubelskiej publiczności w doskonalenie warsztatu scenicznego.

Przykład Jerzego Golferta, który później na stałe związał się z Operetką Poznańską, wcale nie jest odosobniony, a właśnie raczej typowy dla podstawowego problemu, z jakim od lat boryka się polski teatr muzyczny — brakiem odpowiedniego szkolnictwa kształcącego aktorów-profesjonalistów.

Opowiadał mi Paweł Wojtczak, jeden z najbardziej znanych lubelskich aktorów operetkowych, że w czasie swojej wieloletniej kariery artystycznej spotkał zaledwie jednego aktora, Michała Śląskiego, niegdyś pierwszego amanta Operetki Łódzkiej, który skończył i wyższe studia muzyczne i aktorskie studia u Zelwerowicza. Oczywiście zebrałoby się takich w Polsce więcej, ale też faktem jest, że największe gwiazdy naszych teatrów muzycznych to albo wybitni śpiewacy — profesjonaliści, którzy już na scenie, grając poważne role, musieli zaczynać uczyć się aktorstwa, albo na odwrót: absolwenci szkół dramatycznych, którzy amatorsko uprawiali muzykę i ostatecznie „sprawdzili się" na scenie teatru muzycznego. A ilu jest takich, którzy byli czystymi amatorami tak w jednej jak i w drugiej dziedzinie? Przykład Wiesława Ochmana, który z wykształcenia jest inżynierem-ceramikiem, z powołania — śpiewakiem i aktorem operowym, a z urodzenia... wybitnym, na skalę światową artystą — może być tutaj najbardziej miarodajny.

Beata Artemska, która właściwie debiutowała wielką rolą „Pięknej Heleny" na deskach Operetki Lubelskiej, ma — poza wykształceniem muzycznym — skończoną szkołę dziennikarską. Agnieszka Kossakowska, ukończywszy wyższe studia muzycznie, aktorsko „sprawdzała się" w lubelskich przedstawieniach „Rose Marie" i „Dziewczęcia z Holandii". Barbara Kostrzewska, studiując wokalistykę w Krakowie, była nauczycielką w jednej z przemyskich szkół średnich, a doświadczenie sceniczne zdobywała w tamtejszym pół zawodowym „Fredreum". Znany, zmarły przed kilkoma laty, tenor Jerzy Molenda był magistrem ekonomii, a jedna z czołowych obecnie primadonn polskiej operetki, Janina Guttnerówna, zrobiła magisterium z polonistyki na KUL-u, śpiewając podczas studiów najpierw w chórze akademickim, potem w chórze Teatru Muzycznego, aby wreszcie okazać się godną partnerką Kossakowskiej w „Rose Marie" i „Holenderce". A Wiesław Michnikowski, Mieczysław Czechowicz czy Andrzej Stockinger, którzy zaczynali swoją karierę na lubelskiej muzycznej scenie i dopiero potem poszli do szkół dramatycznych? Tak więc fakt, że jedna z obecnych solistek baletu Teatru Muzycznego w Lublinie jest... absolwentką matematyki, nie powinien nikogo dziwić...

No tak, ale wybitne talenty nie tworzą jeszcze teatru, tylko przydają mu blasku — w oparciu o dobry, wyrównany zespół aktorski. A zadania, jakie sztuka stawia przed aktorem muzycznym, są o wiele cięższe, niż w przypadku aktora dramatycznego. Bo powinien on dobrze śpiewać, tańczyć i mieć opanowany warsztat aktorski. Utalentowany solista teatru muzycznego może łatwo „przekwalifikować się" do dramatu, ale nawet największy aktor dramatyczny nie ma co robić w operze, jeżeli brak mu „głosu". *Zawód śpiewaka operowego* — mówił kiedyś Wiesław Ochman — *wymaga kolosalnej pracy, prowadzenia trochę ascetycznego trybu życia. (...) Jak nie pracuje* [on] *nad interpretacją, to uczy się tekstu, a przygotowując nową partię myśli również o zadaniach aktorskich itd. Z tego nie można „wyłączyć się" po ustawowych ośmiu godzinach.* To zdanie można równie dobrze zastosować do każdego aktora muzycznego.

Mamy w kraju 18 scen muzycznych, w tym 10 operetkowych i... zaledwie jeden — powstały przed kilku laty — Wydział Wokalno-Aktorski przy Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi. Kilku absolwentów, jakich wypuszcza on każdego roku, to nawet nie przysłowiowa kropla w morzu. Nic dziwnego, że zdaniem fachowców teatry muzyczne dysponują zaledwie jedną, artystycznie sprawną obsadą aktorsko-śpiewaczą.

Dyrektor Teatru Muzycznego w Lublinie, Andrzej Chmielarczyk, ma w ciągu roku na głowie przygotowanie 3 premier, 240 przedstawień — w tym 70 poza stałą siedzibą — ale przede wszystkim ponad 100-osobowy zespół ludzi, na których swoje łaski zsyłają aż trzy muzy: Melpomena, Polihymnia i Terpsychora. To znaczy: 30 solistów, 26 artystów chóru, 20 artystów baletu i 32 muzyków. Do tego dochodzi spory zespół techniczny i administracyjny.

W dodatku lubelski teatr ma najgorsze warunki lokalowe w Polsce, ba — w ogóle ich nie ma, a tylko „wypożycza" salę od Domu Oficera i musi bezustannie lawirować między swoimi potrzebami a repertuarem i planem pracy wojskowego domu kultury. Mówił o tym w ubiegłym roku Józef Słotwiński w wywiadzie dla „Teatru": *Garderoby w katakumbach, 6 aktorów przebiera się i charakteryzuje na 4 metrach kwadratowych. Kiedy gra Paweł Wojtczak, trzech kolegów ubiera się na korytarzu. Taki metraż! Teatr jest najuboższym sublokatorem sali garnizonowej i to całkowicie uzależnionym od interesów właściciela.* Oczywiście, buduje się w Lublinie nowy teatr, więc za kilka lat — jak dobrze pójdzie — Teatr Muzyczny przeniesie się do XIX-wiecznego gmachu Teatru im. Osterwy przy ul. Narutowicza, ale dzisiaj dyrektor Chmielarczyk lepsze przedstawienia daje w „objeździe", to znaczy w Białymstoku czy Gliwicach, bo tam są prawdziwe sceny, na których zespół może „rozwinąć skrzydła". Scena w Domu Oficera, płytka i ciasna, najlepiej nadaje się na akademie, już gorzej na dramatyczne przedstawienia amatorskie. Spróbujcie tutaj poprowadzić mazura albo zatańczyć „z sercem" kankana — tancerze wpadną do kanału orkiestrowego i poturbują muzyków!

że około 230 tys. osób przeniesie się ze wsi do miast, a standard życiowy pozostałych znacznie się podniesie. Wprowadzenie pełnej mechanizacji robót będzie wymagało wyprodukowania olbrzymiego parku maszyn. Podniesienia kultury rolnej jak i prawidłowego wykorzystania maszyn nie da się uzyskać bez intensyfikacji oświaty w ogóle, a specjalistycznej w szczególności.

Najskuteczniejszym czynnikiem rozwoju jest niewątpliwie przemysł. Gdyby ludzie nie musieli jeść, inwestowanie w tę dziedzinę byłoby najbardziej efektywne. Ale ponieważ muszą jeść, a nasz makroregion jest do tego szczególnie przez naturę predestynowany — przemysł stanowić będzie dopiero drugi z kolei dział gospodarki. Nie przewiduje się większych zmian w strukturze — jedną trzecią potencjału utrzyma przemysł metalowo-maszynowy, ale zwiększy swój udział spożywczy, dający dzisiaj czwartą część wartości produkcji ogólnej. Dodać tu wypada, że nasycenie przemysłem obecnego województwa lubelskiego odpowiada przeciętnej krajowej, natomiast czterech pozostałych województw jest znacznie niższe. Z tym, że najmniej to odczuwa północno-wschodnia część województwa siedleckiego, tradycyjnie ciążąca od aglomeracji warszawskiej. Były nawet spory, czy teren ten włączyć do naszego, czy do warszawskiego makroregionu.

Konkretne lokalizacje i profile produkcji nowych fabryk wyznaczą plany pięcioletnie. W perspektywicznym określono „tylko", że tempo rozwoju przemysłu w makroregionie będzie szybsze niż przeciętne w kraju, że wartość produkcji na jednego mieszkańca wzrośnie trzykrotnie — a jeszcze nieco więcej techniczne uzbrojenie pracy. Dzięki lubelskiej FSC powstanie krajowe centrum produkcji samochodów dostawczych, a cztery istniejące fabryki obuwia oraz trzy garbarnie staną się punktem wyjściowym do utworzenia terytorialnego kompleksu skórzano-obuwniczego. Podobny kompleks paliwowo-energetyczny związany zostanie z Lubelskim Zagłębiem Węglowym, syntez chemicznych z puławskimi Zakładami Azotowymi, a włókienniczo-odzieżowy z białostocko-podlaską Biaweną.

Niektóre nasze surowce mineralne, przede wszystkim węgiel kamienny oraz margiel i wapno do produkcji cementu, posiadają znaczenie ogólnokrajowe i ich wykorzystywanie musi odpowiadać aktualnym potrzebom gospodarki krajowej. O węglu wszyscy wiemy już dostatecznie dużo, więc nie ma potrzeby powtarzać rzeczy znanych. Może warto tylko podkreślić, o czym nie zawsze dziś pamiętamy, że w przyszłości trzy czwarte kopalń węgla kamiennego znajdzie się na terenie województwa chełmskiego.

Glinki, gliny, iły, piaski czy wody mineralne to surowce, ze względu na zasoby, o znaczeniu lokalnym. Prognozy geologiczne wskazują jednak na możliwość istnienia także innych, cenniejszych surowców, ale dopiero przyszłość pokaże, jak dalece prognozy odpowiadają rzeczywistości. Czasem zresztą znajduje się coś, czego wykorzystać nie można. Ostatnio np. pracownicy Instytutu Materiałów Wiążących z Krakowa znaleźli nowe pokłady surowców do produkcji cementu — ale tuż koło parku narodowego Roztocze. Ze względu na ochronę tamtejszego środowiska cementowni w tym rejonie budować się nie będzie.

Szczególne preferencje otrzyma — i już otrzymuje — budownictwo mieszkaniowe, zarówno indywidualne jak i uspołecznione. Nie zagłębiając się w szczegóły powiedzmy, że zapewnienie każdej rodzinie własnego mieszkania wymaga zbudowania nieco ponad 400 tys. mieszkań, dzięki czemu w roku 1990 na jedną izbę przypadnie 0,88 osoby — wskaźnik, którego nie powstydzi się żadne państwo na świecie. A już dzisiaj naszym pociechom w szkole podstawowej możemy zdradzić, że przeciętna wielkość mieszkania wyniesie 62 metry kwadratowe — o 16 więcej niż dzisiaj.

Jeżeli już doszliśmy do tzw. sfery konsumpcji społecznej, to dodajmy skrótowo kilka bardziej sprecyzowanych celów: 1) wodociąg zostanie doprowadzony nie do 67 proc. mieszkań, jak dzisiaj, ale do 95 proc., 2) liczba łóżek szpitalnych zwiększy się o połowę, nieco więcej przybędzie lekarzy, 3) na każdego z nas przypadnie dwukrotnie większa powierzchnia w sklepach niż obecnie, 4) co piąty mieszkaniec znajdzie miejsce w ośrodkach rekreacyjno-wypoczynkowych makroregionu, a dwa razy tyle w innych regionach kraju lub za granicą, 5) w hotelach będzie trzy razy więcej miejsc.

Jedną z form tego rodzaju konsumpcji społecznej jest turystyka i wypoczynek. Te funkcje przejmą przede wszystkim, bo przecież nie wyłącznie, specjalnie wyznaczone tereny: trójkąt Kazimierz-Nałęczów-Puławy, Roztocze, Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie, rejon Wilgi i lasów koło Garwolina itd.

Zupełnie nową dziedziną, która w rozwoju naszego makroregionu może odegrać znaczącą rolę, jest współpraca z rejonami przygranicznymi Związku Radzieckiego, o czym była mowa w komunikacie po ostatniej wizycie naszej delegacji partyjno-rządowej w ZSRR. Nie chodzi tu tylko o zwiększenie wymiany turystycznej, a przede wszystkim o kooperację w rolnictwie i przemyśle, jak również wymianę towarów rynkowych. Kooperacja owa oznaczać będzie np. wzajemne dostawy materiałów siewnych wyselekcjonowanych gatunków zbóż, przerzut maszyn rolniczych równolegle z okresem dojrzewania płodów rolnych. Kooperacja przemysłowa powinna znacznie wzbogacić asortyment produkcji, a jednocześnie poważnie obniżyć koszta transportu.

Wszystkie wymienione kryteria, jak również szereg innych, na których omówienie brak tu miejsca, spowodowały wyodrębnienie z makroregionu obszarów o określonym kierunku rozwojowym. Pierwszy taki obszar charakteryzować się będzie wysokim stopniem urbanizacji, uprzemysłowienia i wyposażenia w infrastrukturę techniczną i społeczną. Obejmie on aglomerację lubelską, północno-zachodnią część województwa siedleckiego (planistycznie wchodzącą w skład aglomeracji warszawskiej) oraz miasta, które zakwalifikowano do krajowych ośrodków rozwoju — Biała Podlaska, Chełm, Siedlce, Zamość i Puławy. Puławy obok Ełku i Grudziądza są jednym z trzech miast nie będących stolicami województw, które jednak zaliczono do tej grupy. W tym obszarze rozwojowym znajdą się też niektóre ośrodki o znaczeniu regionalnym, jak Kraśnik, Biłgoraj czy Łuków.

Drugi obszar to rejony rolnicze, już intensywnie eksploatowane lub mogące takimi stać się w przyszłości. To właśnie wymieniony już kompleks gleb dobrych i bardzo dobrych, rejon kanału Wieprz-Krzna, tzw. strefy żywicielskie aglomeracji lubelskiej i warszawskiej oraz szereg mniejszych obszarów, które mogą się specjalizować w produkcji warzyw i owoców.

I wreszcie trzeci obszar to wymienione już rejony turystyczno-rekreacyjne.

Takie są, przedstawione tu w dużym skrócie, podstawowe kierunki rozwoju makroregionu środkowo-wschodniego. Określono je na podstawie istniejących warunków jak również potencjalnych możliwości, dbając o harmonijne zespolenie wszystkich funkcji społecznych i gospodarczych zarówno wewnątrz makroregionu, jak i w powiązaniu z kierunkami rozwoju całego kraju. Rzeczą działaczy politycznych, gospodarczych, urbanistów i architektów będzie realizowanie tych zasad w praktyce przez kolejne plany pięcioletnie rozwoju społeczno-gospodarczego.

Teatrom muzycznym, na ogół słusznie, zarzuca się zbyt niski poziom artystyczny, a szczególnie — preferowanie mało wybrednego dowcipu sytuacyjnego i mierne aktorstwo, ale prawie nikt nie pisze ani recenzji ani artykułów problemowych na temat teatrów operetkowych. Dyskusja „Wokół teatru muzycznego", jaka toczyła się w ubiegłym roku na łamach „Teatru", była przełamaniem wieloletniego milczenia, ale i ona sprowadziła się w końcu do stwierdzenia, że dopóki nie zorganizuje się szkolnictwa artystycznego, trudno oczekiwać jakichś istotnych zmian.

W teatrze dramatycznym dyskutuje się na temat wyższych studiów, magisteriów, „eksterny" i adeptów, uzależnia się płace od poziomu wykształcenia i nabycia pełnych praw zawodowych. W teatrach muzycznych gaże i „normy" są takie same, a nawet lepsze (obowiązkowa liczba występów dla solisty wynosi od 5 do 13 w miesiącu, a wszystkie ponadplanowe przedstawienia są płatne od 100 do 900 złotych), natomiast nikt nie pyta o wykształcenie. Zresztą jak tu pytać, kiedy nie ma szkół? Za „pełne kwalifikacje" uważa się świadectwo ukończenia średniej szkoły muzycznej lub baletowej — zresztą wyższe szkolnictwo baletowe w Polsce nie istnieje — ale tak naprawdę w opinii środowiska, tenora jako pełnowartościowego solistę kwalifikuje fakt sprostania muzycznym wymogom np. roli Armanda we „Frasquicie", księcia Su-Czonga w „Krainie uśmiechu" lub tytułowej roli w „Carewiczu".

Dyrektor Chmielarczyk może, teoretycznie, zatrudnić jako solistę człowieka z wykształceniem podstawowym i bez żadnego wykształcenia muzycznego, oczywiście jeżeli ma on odpowiedni głos i odpowiednie zdolności. Co więcej: amator ów nie będzie musiał w przyszłości wkuwać do „eksterny" z teorii i praktyki. Wystarczy mu „weryfikacja", przyznawana po co najmniej pięciu latach pracy przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, na wniosek dyrekcji teatru i miejscowego koła SPATiF.

Solista w teatrze muzycznym — przy uwzględnieniu „norm" i wyjazdów w teren — zarabia około 7 tys. złotych, chociaż soliści o dużym stażu, grający role pierwszoplanowe, mogą osiągnąć nawet kilkanaście tysięcy. Gorzej wygląda sytuacja „artystów chóru" i „artystów baletu". Przeciętna gaża kształtuje się tutaj na niższym poziomie, i to przy wysoko wyśrubowanych „normach" (18 przedstawień miesięcznie w wypadku corps de ballet) i ciężkiej pracy. Dyrekcje teatrów próbują dać im pewną rekompensatę, angażując ich zarazem jako statystów, ale trudno się dziwić, że poza solistami balet w teatrze wojewódzkim opiera się głównie na uzdolnionych amatorach.

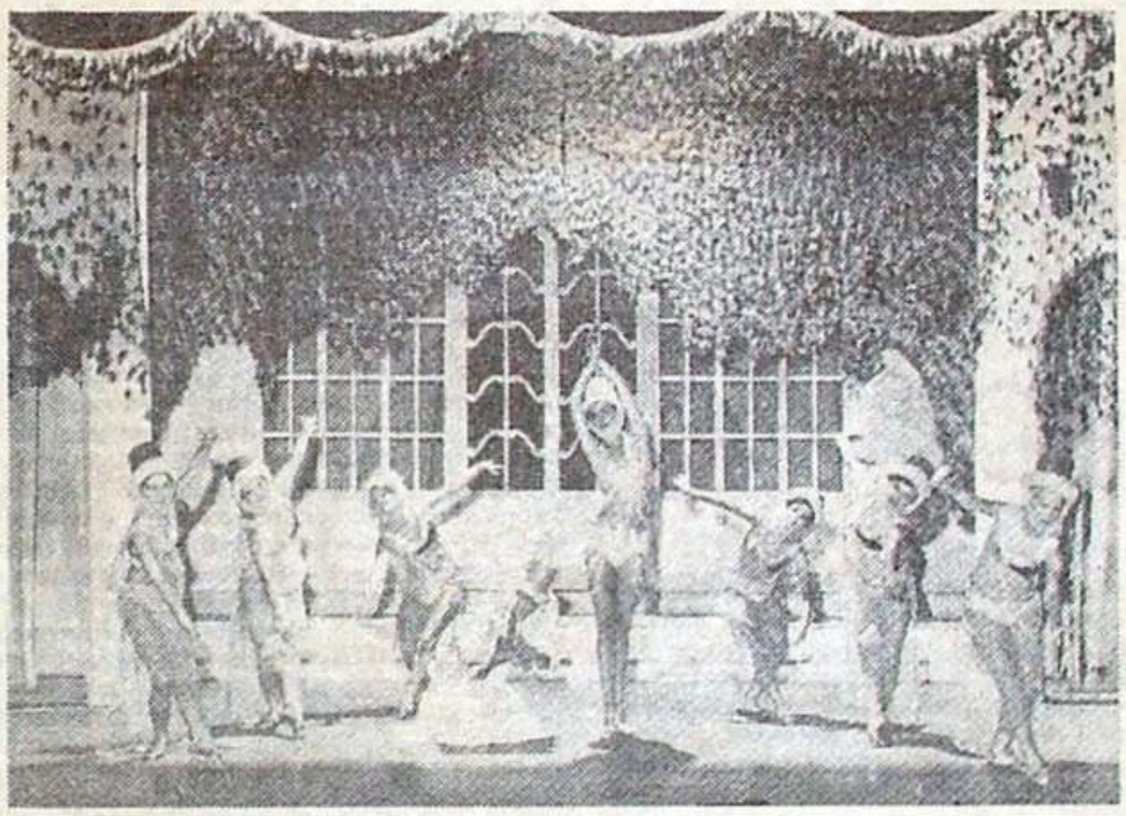

Zespół baletowy. W środku Barbara Hryniuk

Szkoły baletowe istnieją w Warszawie, Łodzi, Poznaniu i Bytomiu. Absolwenci tych szkół za nobilitację artystyczną uważają tańczenie w zespołach operowych lub w poznańskim Polskim Teatrze Tańca. Przypominają trochę absolwentów szkół dramatycznych, którzy za wszelką cenę trzymają się wielkich miast, gdzie istnieją wytwórnie filmowe i studia telewizyjne. Trzeba też pamiętać, że skromną coroczną „produkcję" szkół baletowych pochłaniają dwa ogromne, reprezentacyjne zespoły folklorystyczne — „Śląsk" i „Mazowsze" oraz niezwykle operatywna i dająca „dobrze zarobić" słynna WAIA — Wojewódzka Agencja Imprez Artystycznych w Katowicach. Również lubelski rynek muzyczny — chociaż istnieją tutaj przecież dwie średnie szkoły muzyczne — jest ubogi. Szkoły mają charakter „przejściowy": ich absolwenci o wyższych aspiracjach idą do miast, w których działają wyższe uczelnie muzyczne i z reguły tam już pozostają. W lubelskim Teatrze Muzycznym znaczna część orkiestry to filharmonicy, pracujący tutaj na półetacie. Kiedy teatr wyjeżdża na gościnne występy, orkiestra jedzie w uszczuplonym składzie i trzeba na miejscu doangażowywać muzyków na „prace zlecone".

Słusznie — we wspomnianej już dyskusji o teatrze muzycznym — Małgorzata Komorowska zwracała uwagę na fakt, że *sens i wartość teatru muzycznego tkwi w muzyce, a nie w tym, co widać na scenie*, ale równie słusznie, w rozmowie z Maciejem Prusem, przypomniano zdanie Dalcroze'a, że *nadejdzie dzień, w którym widz równie trudno przebaczy artyście fałszywe poruszanie się, jak fałszywe śpiewanie*. Dzień taki właśnie nadszedł, a nadal prawie nie robi się nic, aby sprostać wymogom chwili.

Sumując: na 18 istniejących w Polsce scen muzycznych przypada jeden Wydział Wokalno-Aktorski PWSM w Łodzi i jedno studium prowadzone przez Danutę Baduszkową w Gdyni — dopiero niedawno „zalegalizowane" dzięki staraniom SPATiF-u, a kształcące w zasadzie kadrę dla własnego teatru. Ciągle cicho wokół sprawy utworzenia podyplomowego Studium Teatru Muzycznego przy PWSM we Wrocławiu, nie słychać też o realizacji ubiegłorocznych projektów stworzenia w Lublinie filii Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie z wydziałami: Instrumentalnym i Wokalno-Aktorskim. W środowisku aktorskim krążą legendy o tym, że gdzieś tam w kraju, w jakichś szkołach muzycznych, szkoli się dykcję, a gdzie indziej robi się „scenki aktorskie", ale gdzie i jak — dokładnie nie wiadomo. Poszczególni dyrektorzy teatrów, jak choćby Chmielarczyk, starają się ratować sytuację angażując reżyserów posiadających zdolności i zamiłowanie do działalności dydaktycznej — mówiąc wiele o słusznej skądinąd idei „szkolenia w czasie pracy", ale na ile to załatwia problem...?

Skończyły się burzliwe czasy operetki. Przed teatry muzyczne nie zajeżdżają powozy i fiakry z wesołą kompanią, a niezwykła historia pierwszej Pięknej Heleny — urzekającej Hortensji Schneider i jej szalonego romansu z młodym księciem de Grammont-Caderrouso — coraz bardziej odchodzi w zapomnienie nawet w samym środowisku aktorskim. Dla współczesnych Messalek i Kaweckich nie tracą też głowy i pieniędzy oszaleli z miłości dyrektorzy. Społeczność aktorów muzycznych zstąpiła z artystowskich mansard do trzypokojowych mieszkań spółdzielczych, jest jedną z najbardziej „osiadłych" i najbardziej „rodzinnych" grup artystycznych. W lubelskim Teatrze Muzycznym, na przykład, na palcach jednej ręki można policzyć osoby znajdujące się w stanie „wolnym".

Ale coś się zachowało przecież w tym środowisku — bardziej niż wśród innych grup artystycznych — z atmosfery i stylu dawnej bohemy, artystycznej cyganerii, z podejścia do sztuki i swoistego rozumienia teatru. Więc gdy kapelmistrz uściśnie dłoń pierwszemu skrzypkowi, gdy zastuka pałeczką w pulpit, gdy zabrzmi uwertura, a kurtyna odsłoni, namalowany na płótnie świat, patrzymy urzeczeni na rozjarzoną scenę. Chociaż wiadomo, że z teatrem muzycznym u nas nie najlepiej...

Kamena str. 7

Z TWÓRCZOŚCI MALARSKIEJ JANA POPKA

Fot. Zbigniew Zugaj

XX-LECIE WYDAWNICTWA LUBELSKIEGO

WYDAWNICTWO Lubelskie obchodzi w tym roku dwudziestą rocznicę swego istnienia. 3 lutego 1957 r. została utworzona Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, której czteroletnią działalność wlicza się do życiorysu lubelskiej placówki edytorskiej.

Przez dwadzieścia lat WL zapisało się w lubelskim ruchu społecznym, kulturalnym i literackim.

Przede wszystkim należało uchwycić miejscowe tradycje ruchu robotniczego i walki z okupantem, w co Lubelszczyzna jest nader zasobna, skoro tu powstawały rady delegatów robotniczych, tu znajdował się jeden z największych hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Szeregiem publikacji bardzo skrupulatnie naświetlono ten obszar zagadnień, a nagrody „Polityki" oraz ministra Obrony Narodowej świadczą o randze publikacji temu tematowi poświęconych. Do dziś wymienia się np. „Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny" prowadzony przez Zygmunta Klukowskiego w ciągu owych tragicznych lat.

Lubelszczyzna była najżywszym w kraju ośrodkiem ruchu partyzanckiego, stąd na szczególną uwagę zasługuje działalność historyków, którzy opublikowali źródła i materiały do dziejów ruchu oporu na tym terenie. Wymienić tu należy prace Zygmunta Mańkowskiego i Jana Naumiuka „Gwardia Ludowa i Armia Ludowa na Lubelszczyźnie (1942—1944)", Ireneusza Cabana i Zygmunta Mańkowskiego „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w okręgu lubelskim (1939—1944)", Zygmunta Mańkowskiego, Jerzego Markiewicza i Jana Naumiuka „Bataliony Chłopskie na Lubelszczyźnie (1940—1944)". Opublikowano wiele wspomnień partyzanckich traktujących o współdziałaniu polskiego i radzieckiego ruchu oporu na ziemach polskich pióra Władysława Góry, Mieczysława Juchniewicza, Michała Gnatowskiego, Wacława Czyżewskiego, Edwarda Gronczewskiego, Stanisława Lisika, Tadeusza Szymańskiego, Józefa Sobiesiaka i innych.

Oprócz Biblioteki Społeczno-Politycznej Wydawnictwo wydaje „Rocznik Lubelski", „Kalendarz Lubelski", „Logopedię" i inne stałe pozycje. Wiele uwagi poświęca się literaturze pięknej. Prowadzona od 1960 roku Lubelska Biblioteka Poetycka osiągnęła już liczbę z górą 70 pozycji, wychodzą utwory poetów ludowych, dział literatury pięknej obfituje w beletrystykę i wspomnienia.

Nie tylko rozległe pole tematyczne charakteryzuje działalność Wydawnictwa, również rozmiar produkcji. W roku ubiegłym ukazała się 700 pozycja. Jest nią książka Czesława Gawdzika i Henryka Gawareckiego „Ulicami Lublina". W latach 1971—1975 opublikowano ogółem 237 tytułów (46 w latach 1957—1960) w 4 291 000 egzemplarzy (212 000 w latach 1957—1960). W wymienionym pięcioleciu wartość produkcji według cen katalogowych wyniosła 81 000 000 zł.

Przede wszystkim jednak z istnienia placówki edytorskiej powstała dla Lublina ta korzyść, że cokolwiek w nim zasługuje na druk, nie musi pukać do wydawnictw krajowych, nie zawsze zainteresowanych tym, co lubelskie. Preferencja dla spraw regionu jest zasadą słuszną i przynosi profit w postaci wyraźnie uformowanego wydawniczego profilu. Nie świadczy to o skłonności do zamknięcia się w geograficznych granicach, często rynek lubelski zasilają nazwiska znane z terenu całej Polski (Tadeusz Łopalewski, Władysław Machejek, Józef Ozga-Michalski, Monika Warneńska), ale lubelskie wydawnictwo słusznie, że w pierwszym rzędzie służy Lublinowi.

Niewątpliwy dodatni skutek istnienia źródła publikacji na miejscu odczuło środowisko literackie. Sprzężenie między rozmiarem i wartością produkcji pisarskiej a możnością druku jest w praktyce oczywiste, tak więc aktywizacja piór, jaką obserwujemy od lat kilkunastu, nie pozostaje bez związku z działalnością Wydawnictwa. Ukazują się zbiory wierszy poetów lubelskich, powieści, powieści dla młodzieży, niedawno czytelnik lubelski otrzymał do ręki obszerną i starannie wydaną antologię młodej poezji pt. „Przebudzenie", przedtem almanach prozy „Na widnokręgu". Szczególną jednak zasługą Wydawnictwa jest ukazanie, a właściwie nawet uchronienie przed rozproszeniem dorobku Józefa Czechowicza. Ten poeta przez długi czas nie miał zbiorczej publikacji, przez co nie bez trudności przychodziło docierać nawet do poszczególnych wierszy. Mamy obecnie nie tylko pełny zbiór poezji, ale także wspomnienia o poecie. Może trochę za długo czekamy na zapowiedziane dramaty. Analogicznie całościowego ujęcia doczekała się twórczość Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Ewy Szelburg-Zarembiny.

Również wypróbowanym partnerem Wydawnictwa jest środowisko dziennikarskie, a ostatnia jego publikacja — tom reportaży o lubelskim zagłębiu węglowym „Górnicze przedwiośnie" — ustanowił chyba lokalny rekord szybkości druku.

Dwadzieścia lat. W ciągu tego czasu, który przy dzisiejszym tempie życia tyle wydarzeń zmieścił, wiele się działo na lubelskim bruku. Wiele wydarzeń w dziedzinie kultury w ogóle, więc i lubelska placówka wydawnicza ma czym zapisać album swoich wspomnień (a kto wie, czy i o takiej publikacji nie warto by pomyśleć). Jeśli nawet nie wszystko to układało się na linii wstępującej, jedno jest niezaprzeczalnie pewne: że istnieje lubelska książka. Istnieje nie tylko dla lublinian, nie tylko przez mieszkańców naszego miasta odbierana, a zasługę w tym względzie odnosi ta właśnie instytucja, której początek przypadł na dzień 3 lutego 1957 roku. Życzymy jej dalszych pomyślnych lat życia, dalszego wkładu w życie kulturalne miasta i kraju!

(m)

Dokończenie ze str. 1

obszerny i z oczywistych względów nie sposób go tutaj przedstawić w pełni. Wspomnijmy więc tylko, że m. in. rozważano takie problemy: naukowe rezultaty programu lotu statków „Sojuz" i „Apollo", badanie Układu Słonecznego, meteorologia satelitarna, wielkie satelitarne systemy energetyczne, medycyna kosmiczna i astrobiologia, kierunki przyszłego rozwoju astronautyki, problemy łączności z pozaziemskimi cywilizacjami (CETI i SETI), nowe środki transportu satelitarnego (prom kosmiczny), elektronika w technice i badaniach kosmicznych, satelity komunikacyjne, napędy, nowe technologie, prawo kosmiczne, współpraca w nowej epoce badań kosmicznych, historia rakietnictwa i astronautyki, nauczanie astronautyki w szkołach średnich i wyższych...

Kongres, odbywający się w dwusetną rocznicę powstania USA, miał szczególnie uroczystą oprawę, co jest także zrozumiałe wobec faktu, że jego obrady toczyły się w kraju, który obok Związku Radzieckiego walnie przyczynił się do wielu świetnych osiągnięć astronautyki. Podczas otwarcia odczytano specjalne orędzie prezydenta USA, a przemówienia powitalne wygłosili: przewodniczący komitetu organizacyjnego G. E. Mueller, generalny dyrektor NASA — dr J. C. Fletcher i prezydent Międzynarodowej Federacji Astronautycznej, dr L. Jaffe. Gospodarze przygotowali również uczestnikom Kongresu wiele atrakcji o charakterze towarzyskim i kulturalnym. Na przyjęciu powitalnym, wydanym przez władze stanu Kalifornia w Grand Hotelu, goście testowali wina kalifornijskie i sery amerykańskie. W programie wycieczki do Hollywood znalazły się wizyty w wielkich wytwórniach filmowych i domach gwiazd ekranu. Uczestnicy Kongresu obejrzeli Disneyland w Anaheim i wysłuchali koncertu w Los Angeles. Urządzono wycieczki do Jet Propulsion Laboratory w Pasadenie i do ośrodków budowy promu kosmicznego firmy Rockwell International w Los Angeles i Palmdale na pustyni Mojave w Kalifornii. Oczywiście, zaproszono nas także do Knott's Berry Farm — Old American West, miasteczka zbudowanego na wzór osiedli z wczesnego okresu kolonizowania Kalifornii. Na zakończenie odbył się bankiet Międzynarodowej Federacji Astronautycznej.

Większość wymienionych imprez była płatna dodatkowo, poza taryfą kongresową.

Spośród bogatej problematyki Kongresu wybierzmy kilka zagadnień, które zainteresowały autora niniejszego sprawozdania. Nie znaczy to, aby te właśnie sprawy były najważniejsze na Kongresie. Chodzi o zilustrowanie problematyki, którą żyje astronautyka dziś, lub która wyznaczy jej perspektywy rozwojowe, a tym samym postęp w wielu innych dyscyplinach nauki i techniki. Do takich należy pierwszy wspólny lot statków kosmicznych „Sojuz" i „Apollo".

Załoga statku „Apollo" przeprowadziła 28 eksperymentów naukowych, z tego pięć wspólnie z kosmonautami „Sojuza". Dotyczyły one astronomii, geofizyki i struktury pola grawitacyjnego Ziemi, fizyki ciała stałego, medycyny, immunologii i biologii. W sumie zostało przeprowadzonych 161 eksperymentów. W zakresie astronomii wiązały się one m. in. z obserwacją miękkiego promieniowania X, z badaniem źródeł promieniowania, głównie gwiazd, w głębokiej, ultrafioletowej części widma (o długości fali od 100 do 1000 A). Ponadto badano ośrodek międzygwiazdowy w pobliżu Układu Słonecznego i sztuczne zaćmienia Słońca. W zakresie geofizyki i analizy struktury pola grawitacyjnego Ziemi przeprowadzano pomiary aerozoli w stratosferze, wykonano obserwacje i fotografowano naszą planetę dla potrzeb geodezji i geologii, zajmowano się problemem geodynamiki w związku z analizą subtelnej struktury pola grawitacyjnego Ziemi i innymi kwestiami. Przedmiotem badań i prac w zakresie fizyki ciała stałego było hodowanie kryształów w stanie nieważkości (piec wielozadaniowy) i wyniki wielokrotnego topienia materiałów mieszanych.

Zorientowanie się czytelnika w istocie i efektach przeprowadzonych przez oba statki badań wymagałoby od niego znacznej wiedzy specjalistycznej, zrezygnujmy więc z takiego wykładu. Wspomnijmy tylko, że sztuczne zaćmienie Słońca obserwowano na „Sojuzie" w momencie, kiedy „Apollo", lecący w odległości 200 metrów od statku radziec-

JUTRO ASTRONAUTYKI

kiego, przesłonił naszą gwiazdę. Na 19 spośród 55 wykonanych wówczas zdjęć widoczna jest korona Słońca. Warto też poinformować, że jeden z eksperymentów obu statków otworzył nowy dział astronomii — astronomię w bardzo głębokim ultrafiolecie.

27 Kongres stał pod znakiem nowych perspektyw, jakie przed astronautyką otworzy budowany właśnie prom kosmiczny. Zadecyduje on niewątpliwie o dalszym rozwoju astronautyki w bieżącym stuleciu.

Kontrakt na budowę wahadłowca (space shuttle) został zawarty między NASA a firmą Rockwell International w 1972 roku. Koszty prototypu wyniosą około dwóch miliardów dolarów. Wstępne próby pojazdu rozpoczęto w 1974 roku, a dwa lata później odbył się przegląd prac nad wahadłowcem i pierwszy wyjazd z hangaru. Miałem przyjemność wejść do kabiny pilota pierwszego montowanego wahadłowca, na co zezwolili nam uprzejmi gospodarze. Próby na hamowni przewidziano na rok 1977, próbne loty na małych wysokościach z bombowca „Boeing 747" oraz lądowanie — w tym samym roku. Dwa lata później odbędą się testowe loty orbitalne. Do 1983 roku planuje się wyprodukowanie czterech promów kosmicznych.

Każdy wahadłowiec będzie mógł wykonać po 100 lotów: z Ziemi na orbitę satelitarną i z powrotem. Oprócz trzyosobowej załogi może on zabrać siedmiu pasażerów. Jego długość wynosi 37,1 m, wysokość — 17,4 m, rozpiętość skrzydeł — 23,8 m, długość ładowni — 18,3 m, jej średnica 4,6 m. Maksymalna wysokość lotu nad powierzchnią Ziemi wyniesie około 2000 km, a prędkość wejścia do atmosfery na wysokości 122 kilometrów — 7,4 km na sekundę. Jeden rejs może trwać od 7 do 30 dni, z czego 2 zabierze operacja startu i lądowania. Po powrocie wahadłowiec będzie gotów do kolejnego lotu po czterech dniach, jednak w akcji ratowniczej można ten okres skrócić do 24 godzin. Pierwszy lot promu zaplanowano na przełom 1978 i 1979 roku. Przewiduje się, że w latach 1980—1991 odbędzie się 570 lotów; 60 proc. lotów to misje wojskowe.

Cały program Space Shuttle pochłonie 18 miliardów dolarów. Ale transport wahadłowcem będzie kosztował 160 dolarów za jeden kilogram, podczas gdy rakietami konwencjonalnymi kosztuje od 500 do 1000 dolarów.

Prom kosmiczny będzie użyty nie tylko dla intensywnego treningu astronautów, ale także dla przeprowadzenia eksperymentów przez uczonych i techników. Może on też posłużyć do realizacji bardzo różnorodnych programów dzięki dużemu ładunkowi, jaki może dostarczyć na orbitę satelitarną (29,5 tony). Ładunek taki, zaopatrzony w silnik, może być dostarczony na wysokie orbity okołoziemskie, na tory księżycowe lub planetarne. Wahadłowiec może zabierać ładunki z orbity satelitarnej, obsłużyć i dokonać wymiany satelitów i w satelitach lub stacjach kosmicznych na orbitach okołoziemskich, co uczyni misje kosmiczne bardziej wydajnymi i sprawnymi. Wahadłowce znajdą szerokie zastosowanie w badaniach środowiska okołoziemskiego, jego zanieczyszczenia i fizycznych własności.

W jednym locie wahadłowiec może ustawić aż pięć różnych satelitów Ziemi, wybierając je kolejno z ładowni przy pomocy manipulatorów, w jakie jest wyposażony. Podobnie przy pomocy wahadłowca satelity mogą być „zdejmowane" z orbity: dla wymiany, naprawy lub unowocześnienia. Za kilka lat prom dostarczy na orbitę satelitarną teleskop kosmiczny, który zostanie uruchomiony przez jego załogę.

Większość zastosowań promu kosmicznego widzimy w transporcie na orbity geostacjonarne, w lotach po torach silnie eliptycznych, wysokich trajektoriach kołowych lub w przygotowaniu głębokich sondaży przestrzeni kosmicznej. W tych programach udział wahadłowca polega na dostarczeniu członu napędowego (silnik plus paliwo) na niskie orbity okołoziemskie. Montaż przeprowadzą załogi. Po wykorzystaniu członu napędowego będzie on dostarczony na Ziemię do kolejnego użytku. W ten sposób w połowie lat 1980—1990 wyśle się sondę kosmiczną „Mariner" na orbitę okołojowiszową. Dzięki wahadłowcom rozwiną się zastosowania sztucznych satelitów Ziemi w meteorologii, geodezji satelitarnej, do badań sposobów użytkowania Ziemi i zanieczyszczenia biośrodowiska, w łączności, geologii, oceanografii, badaniach zasobów wody, w służbie zdrowia i produkcji wyszukanych materiałów w stanie nieważkości. Intensyfikacji ulegną także badania naukowe Ziemi, środowiska okołoziemskiego, innych ciał niebieskich Układu Słonecznego, Słońca oraz jak najszerzej rozumianej problematyki astronomicznej, tej, którą dziś widzimy i tej, która się jeszcze narodzi przy pełnym wykorzystaniu metod astronautycznych w astronomii.

Jednak najważniejsze zastosowania promów kosmicznych dostrzegamy w budowie wielkich obiektów na orbitach satelitarnych Ziemi. Należeć będą do nich zarówno wielkie załogowe stacje kosmiczne, jak też elektrownie satelitarne, służące do pokonania kryzysu energetycznego na Ziemi, a wymagające rozwiązania całkiem nowych problemów naukowych i technicznych.

Kolejny problem — budowy wielkich elektrowni satelitarnych — wszedł jako trwała pozycja do przyszłościowych programów astronautycznych. Jeszcze w r. 1968 P. Glaser wysunął pomysł budowy elektrowni satelitarnych, wykorzystujących energię promieniowania słonecznego. Byłaby ona zamieniana na energię elektryczną przy pomocy półprzewodnikowych elementów fotowoltaicznych, ulokowanych w postaci olbrzymich tac o powierzchni kilkudziesięciu km kw. na geostacjonarnej orbicie satelitarnej. Energia prądu elektrycznego, zamieniona na promieniowanie mikrofalowe, byłaby wypromieniowana na Ziemię, gdzie odbierana przez anteny, byłaby zamieniana z powrotem na energię prądu stałego i kolejno — zmiennego i w tej formie dostarczana odbiorcy na Ziemi.

Budowa takich elektrowni satelitarnych stanowi całkowicie nowy problem naukowy i techniczny o niezmiernie wysokim stopniu trudności. Jednak z uwagi na rosnące kłopoty energetyczne naszej cywilizacji i szybkie wyczerpywanie się paliw tradycyjnych (ropa naftowa, gaz i węgiel) ludzkość będzie musiała rozwiązać już w najbliższym czasie problem wytwarzania dużych ilości energii: albo w procesach syntezy jądrowej, albo czerpania jej bezpośrednio z promieniowania słonecznego. Na 27 Kongresie Astronautycznym w Anaheim tematyka ta była rozwijana w wielu referowanych pracach. Jest ona na warsztacie wielkich firm przemysłowych, jak Lockheed Missiles and Space Corp., Aerospace Corp. NASA, Boeing, Telefunken, Raytheon Comp., Rockwell International, Space Div. itd.

Moc optymalna słonecznej elektrowni satelitarnej ze względu na stosunek uzyskiwanej mocy do dostarczonej na orbitę satelitarną masy szacowana jest na 3 do 15 GW. Elektrownia na orbicie geostacjonarnej będzie oświetlana promieniowaniem słonecznym niemal przez całą dobę. Najdłuższy czas pobytu w cieniu Ziemi nie przewyższy 72 minut na jedną dobę. Elektrownia satelitarna, dostarczająca na Ziemię moc około 10 GW, musiałaby mieć powierzchnię tac fotowoltaicznych około 140 km kw. przyjmując, że całkowita sprawność układu wynosiłaby 10 proc.

Problemy łączności z cywilizacjami pozaziemskimi (CETI i SETI) były także szeroko rozpatrywane podczas obrad Kongresu. Przy okazji przypomnijmy, że grupa robocza CETI przy Międzynarodowej Akademii Astronautycznej (IIA) została założona we wrześniu 1965 roku, a od 1972 odbywają się przeglądowe sympozja CETI, organizowane przez stały obecnie komitet Communication with Etraterrestrial Civilizations (CETI) przy IIA. Jest to jedyny komitet międzynarodowy poświęcony tej problematyce.

Podczas Kongresu w Anaheim wygłoszono siedem referatów — w trakcie sympozjum CETI. Prócz tego członek zespołu CYCLOPS, dr Billingham, przedstawił informację o dotychczasowych wynikach poszukiwań ustrojów żywych na Marsie w ramach programu Viking.

Ze swej strony, w wygłoszonym referacie, wysunąłem sugestię umieszczenia na geostacjonarnej orbicie Ziemi radioteleskopu do aktywnej i biernej łączności międzygwiazdowej. Jest to odmienna do programu CYCLOPS metoda rozwiązania problemu CETI. W znanej pracy „Project CYCLOPS", twórcy tego programu traktowali umieszczenie radioteleskopu na orbicie satelitarnej jako propozycję nie do zrealizowania w bliskiej przyszłości, nawet „w zasadzie".

W moim ujęciu rozpatrywane są możliwości budowy satelitarnego nadajnika i odbiornika CETI, krążących po orbicie geosynchronicznej i sprzężonych z elektrownią satelitarną o mocy około 20 GW, uzyskiwanej z konwersji energii promieniowania Słońca na energię elektryczną. Uważam, że możliwość budowy satelitarnego systemu CETI jest na równi realna, jak realna jest budowa elektrowni satelitarnych o dużej mocy. W pracy mojej został także przedyskutowany problem sygnałów wywoławczych cywilizacji naukowo-technicznej, poszukującej rozumnego partnera do rozmowy międzygwiazdowej.

Przyjmując, że czas budowy elektrowni satelitarnej jest niedaleki, zaproponowałem wykorzystanie tej samej techniki w budowie anteny CETI. Dla elektrowni satelitarnej o mocy około 20 GW planowana jest antena o średnicy około 1 km do przesyłania energii na Ziemię w postaci promieniowania mikrofalowego. Podobnego typu antena potrzebna jest dla CETI w obszarze mikrofalowym. Takich rozmiarów anteny o ruchomym dysku nie sposób zbudować na Ziemi. Dlatego wystarczyłoby — w zasadzie — po dokonaniu odpowiednich przeróbek odwrócić w kierunku nieba antenę wielkiej elektrowni satelitarnej, aby zrealizować czynną i bierną łączność CETI.

Wiadomo, że ze względu na obecność atmosfery optymalną częstością promieniowania elektromagnetycznego łączności międzygwiazdowej z Ziemi jest obszar tzw. „dziury wodnej" (1—2 GHz), jak to przyjmuje program CYCLOPS.

Natomiast proponowany układ CETI na orbicie satelitarnej nie zależy od rodzaju atmosfery planety i dowolna częstość może tu być optymalna. Układ ten nie zależy zatem od konkretnego schematu biologicznego ustrojów żywych, który nie musi, być może, bazować na węglu jako podstawowym biopierwiastku, ani na wodzie — jako podstawowym rozpuszczalniku biologicznym, jak to jest ze schematem biologicznym na Ziemi. Obok więc możliwości budowy dowolnie wielkich anten na orbicie satelitarnej, zaopatrzenie ich w energię elektryczną pochodzenia słonecznego o bardzo dużej mocy (kilkanaście GW), realizacji łączności biernej i czynnej na dowolnej częstości jako optymalnej, zaletą proponowanego systemu łączności jest jego niezależność od rodzaju schematu biologicznego istot rozumnych, nawiązujących łączność. Większości podanych tu zalet nie posiada program CYCLOPS.

Wśród blisko tysiąca uczestników Kongresu Polskie Towarzystwo Astronautyczne reprezentowali: dr Olgierd Wołczek oraz autor niniejszej publikacji, którzy wygłosili dwa referaty. Dr O. Wołczek mówił o „Badaniach planet przy pomocy zdalnych, aktywnych urządzeń i środków", a autor tej relacji „O realizacji CETI z orbity satelitarnej Ziemi".

Ponadto dr O. Wołczek był przewodniczącym jednego z zespołów tematycznych Kongresu i został wybrany do Komitetu Programowego następnego Kongresu. Autor artykułu występował wielokrotnie w dyskusjach podczas obrad Kongresu i w posiedzeniach dwóch komitetów Międzynarodowej Akademii Astronautycznej, których jest członkiem: Komitetu CETI, Komitetu Historii Astronautyki i Badań Kosmicznych.

Następny Kongres Międzynarodowej Federacji Astronautycznej odbędzie się w Czechosłowacji (w Pradze) we wrześniu 1977 r.

Mieczysław Subotowicz

Obszerne omówienie problematyki Kongresu w Anaheim znajdą Czytelnicy w artykule prof. dr. Mieczysława Subotowicza, który ukaże się w najbliższym numerze dwumiesięcznika „Astronautyka".

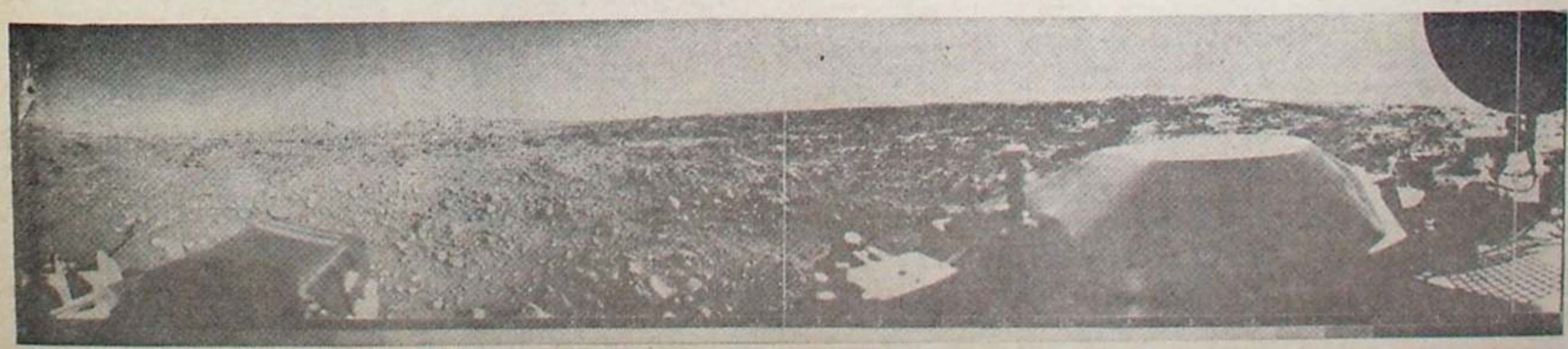

Sonda „Viking" na Marsie

EXPRESEM PRZEZ CZTERY MIASTA (III)

W TALLINNIE I LENINGRADZIE

Maria Bechczyc-Rudnicka

NIECH mi wolno będzie teraz chwalić urodę wiekowego, a zarazem młodego, Tallinna, poczynając od jego starówki. Owszem, proszę państwa, mówię dobitnie: s t a r ó w k i, choć ostrzegano mnie niedawno, że narobię sobie wrogów w Warszawie używając tego słowa w odniesieniu do innego miasta. Nie widzę jednak powodów, by moja kochana, rodzinna Warszawa rościła sobie wyłączne prawo do terminu poręcznego w ogólniejszym użytku, jak nie pogodziłabym się również z oddaniem na własność Jerzemu Waldorffowi ironicznie ekspresyjnego spójnika aliści. A więc — s t a r ó w k a, s t a r ó w k a tallińska... I właśnie chcę powiedzieć, że ona to czyni ze stolicy Estonii miasto jedyne w swoim rodzaju.

Jeśli bowiem w Rydze godne czci zabytki są rozrzucone na ogromnej przestrzeni, w Tallinnie, wręcz odwrotnie, stanowią one przeważnie zwartą całość, krzepkie, żywotne jądro, z którego wyrastają stopniowo nowe dzielnice, aż do dzisiejszych okazałych bloków, powstałych w ciągu zaledwie kilku lat, choćby np. na półwyspie *Kopli*, na płaskowzgórzu w *Lesnamiae* czy w *Nymme*, w *Pelgorand*, *Mustamae*. Cytuję te nieznane nam nazwy poniekąd ze względów „eufonicznych" — słyszałam niegdyś, że język estoński, potraktowany od strony fonetyki, zdobył na pewnym konkursie międzynarodowym początku naszego stulecia — czwartą nagrodę. I słusznie.

Ale jakkolwiek w podziw wprawia nie tylko rozmach dzisiejszego budownictwa Tallinna, lecz zwłaszcza jego rzadko spotykane obecnie urozmaicenie architektoniczne, wróćmy przecie do tallińskiej starówki, bo tak frapujące skupisko budynków średniowiecznych można zobaczyć doprawdy już mało gdzie w Europie.

Gdy się dotrze na wzgórze do *Toompea* i zbliży do kamiennych parapetów rozległych tarasów „Wysokiego Zamku", mamy po prostu niezrównany belweder. Przede wszystkim rzuca się w oczy iglica doskonale zachowanego gotyckiego ratusza, a na owej iglicy kuta postać legendarnego rycerza z chorągiewką i mieczem w ręku. „Stary Toomas" — mówią nie bez czułości Estończycy — strzeże grodu przed wrogami. Na chorągiewce, jak nas poinformowano („własnoocznie" tego nie dojrzysz) — data: 1154. Jest to rok pierwszej wzmianki o Tallinnie, figurującym w kronice arabskiego podróżnika pod nazwą *Koływań*, zamienioną przez Duńczyków w *Refal* (za carskiej Rosji — *Rewel*).

W ogóle jedną z charakterystycznych cech tutejszego labiryntu średniowiecznych uliczek, ukształtowanego domami ze spadzistym dachem, jest zatrzęsienie datowanych chorągiewek — wiatrowskazów: kurek, smoków, rusałek itp. Wieje od tych pierwotnych „barometrów", jakąś miłą swojskością.

Szkicując wrażenia z Rygi (v. nr 26 „Kameny" 1976 r.) wymieniłam basztę Prochową, jedyną tam ocalałą z dawnej liczby 28. W Tallinnie wiatry historii oszczędziły dwie trzecie pierścienia starego muru obronnego i aż kilkanaście baszt, krągłych, przysadzistych, solidnych, podobnych do matron, co czuwają nad ogniskiem domowym. Toteż przezwiska otrzymały poniektóre nader wymowne, np. — *„Kiek-in-de-kok"* („Spójrz na kuchnię"). Tylko wyjątkowo „Gruba Małgorzata", o kształcie podkowy, jakby nasiąkła grozą carskiego więzienia dla *„niebłagonadiożnych"*. No i „Długi Herman" pyszni się wybujałym wzrostem, niczym kogut między kokoszkami.

Nowoczesny Tallinn ma pięć teatrów, filharmonię, 9 muzeów, oczywiście ośrodek TV, rozgłośnię radiową, ma 12 kin (w tym wytworny budynek kina panoramicznego „Kosmos") i cały ze szkła, betonu, metalu, plastyku luksusowy hotel-wieżowiec *„Wiru"* (nasza grupa krytyków teatralnych mieszkała w przytulnym „Tallinnie").

I znów, jak pisząc o Łotwie, przywołuję uwagę czytelnika do totalnej liczby ludności, która w Estonii jest jeszcze mniejsza, bo, wg spisu na rok 1975, sięga zaledwie 1 438 000 osób (sam Tallinn ma 400 tysięcy mieszkańców). I znowu pytam, czyż nie jest rzeczą zaiste zdumiewającą, że tak mało ludzi zdołało osiągnąć tak wiele?

Do bardzo przyjemnych naszych kursów autokarowych należała przejażdżka wzdłuż wybrzeża Bałtyku do parku *Kadriorg*, którego zakładanie rozpoczęto na początku w. XVIII z rozkazu Piotra I. Licząc się z możliwością założenia tutaj portu, ów nietypowy car-cieśla kazał najpierw zbudować dla siebie (a może i sam przyłożył do roboty ręki) skromny drewniany domek, potem dla swej umiłowanej żony Kätchen (nie plątać z Katarzyną II!) — ładny, acz nie przesadnie okazały, pałac, gdzie mieści się obecnie Muzeum Sztuk Plastycznych. Oba budynki widzieliśmy od zewnątrz, w przejeździe. Nazywało się to miejsce *Ekaterinentalem*, skąd estoński *Kadriorg*.

W Kadriorgu imponuje bogata wystawa osiągnięć gospodarczych tudzież gigantyczna muszla koncertowa, związana z odbywającym się co pięć lat w lipcu Świętem Pieśni i Tańca, w którym, po eliminacjach powiatowych, bierze udział 30 tysięcy śpiewaków. Zaprasza się i chóry zagraniczne, m.in. występowała na takim święcie warszawska „Harfa".

W Tallinnie wygospodarowano nam czas na dwa spektakle. Jeden widzieliśmy w Państwowym Rosyjskim Teatrze Dramatycznym Estońskiej SRR. Była to adaptacja słynnej powieści „Przyszedłem, by dać wam wolność...". Wybitny pisarz rosyjski, reżyser i aktor, Wa-

Między sztambuchem a programem

Zygmunt Mikulski

PRZEŚLEDZIĆ drogi awangardy lat dwudziestych to natknąć się na niewspółmierność jej charakteru z dzisiejszymi o niej opiniami. Nie sprawdzanymi, pozostawionymi w nie wiadomo dlaczego przyjętej zmowie milczenia. Ich zakwestionowanie nie zmieni aż stanu poetyckiej świadomości, co najwyżej spojrzenie na biograficzne szczegóły kierunku, tym bardziej więc zdumiewa, że próby przejrzenia zadawnionych mniemań nie podjęto.

A więc grupa. Artystyczna spoistość grupy. Owszem, nowe kierunki (futuryzm, nadrealizm, kubizm) i nowe nazwiska (Apollinaire, Cendrars, Jacob) nie mogły zostać bez echa w Polsce, ale trudno przypuścić, że cała europejska nowość tak zgodnie zrealizowała się w krakowskiej czwórce. Że kanon nowej sztuki — przy swej śmiałości przecież konsekwentny i skończony w szczegółach — był dziełem czterech ludzi. Trudno przypuścić, bo rzeczywiście był dziełem jednego: Peipera. W momencie, gdy powstawała „Zwrotnica" (rok 1922) Peiper miał lat 31, Przyboś 21, Brzękowski 19, Kurek 18. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę, że Peiper nie miał przyjaciół, że z nikim nie utrzymywał bliskich kontaktów, że był towarzyskim anonimem, dojdziemy do jednego wniosku: grupa z tego być nie mogła, mogła być szkoła. I to jest wykładnia, w której świetle tłumaczą się fakty. Kiedy w roku 1931 zaczęła wychodzić „Linia", w teorii kontynuatorka „Zwrotnicy", Peiper do niej namówić się nie dał. Uczniowie podrośli i sytuacji absolutnego przewrotnictwa nie mogli zaakceptować, a Peiper na inną zgodzić się nie chciał. Drogi się rozeszły.

Już na początku zresztą złączone dość sztucznie. Popatrzmy na sytuację. W Krakowie powstaje pismo, w Krakowie znajduje się trzech młodych, którzy do renomowanych centrów życia literackiego, a przede wszystkim do źródeł publikacji dotarcia raczej nie mają. A nowy kierunek pasuje ich na rewolucjonistów. Nie potrzeba powoli szczeblować, można od razu stanąć w opozycji. Jaka to możliwość? Atrakcyjna. Tym bardziej, że start poetycki odbędzie się pod teoretycznymi auspicjami wysokiego rzędu. O nową sztukę — przed czym ma się tu wzdragać sumienie młodego twórcy?

Przybosiowi z czasem przewodnictwo Peipera zaczęło nie iść w smak. Pozycję przodownika chóru wolał widzieć zajętą przez siebie. Zresztą nie tylko praktyka poetycka, ale i rodzaj poetyki jakże różni „Równanie serca" od „Żywych linii"! Przyboś peiperzystą? Przyboś tylko przybosistą. Zawsze.

Brzękowski. Tu może nie było odszczepieństwa. Ale też i nie przesadna ortodoksja. Owszem, interesujący kierunek nie mógł nie porwać, ale bardziej porwała Francja. Mnogość, wielorakość, panoramiczność. Brzękowski zresztą to ktoś w rodzaju parnasisty awangardy. Traktował ją nie tyle jako narzędzie światopoglądowej organizacji, ile jako inteligentne wynaturzenie stylu. Czas na chorobę języka, który w ten sposób stanie się ciekawszy — to da się wyczytać w jego pisarstwie.

Kurek? Zdumiewa jego obstawanie przy awangardzie. Był w jej gnieździe kukułczym jajem. I to post-romantyzmu. A więc kierunku tak opozycyjnego, że bardziej opozycyjny trudno sobie wyobrazić. Mówi sam: „Dlaczego walczyłem z poezją skamandrytów? Bo nie widziałem dla siebie miejsca w jej orbicie, nic wtedy nie mogłem znaczyć, nie byłoby mnie słychać. Zwalczałem jej formę czytelną, jej kierunek komunikatywny, o ileż wdzięczniejszy w rezonansie; który właśnie przez to ograbiał mnie automatycznie z czytelników i słuchaczy".*

Pytania są?

O ile więc sam Peiper, świeży przybysz z Zachodu, walczył o pozycję dla awangardy wśród ówczesnych prądów artystycznych w Polsce, u pozostałych awangardzistów na odwrót: awangarda im dawała pozycję. Owszem, wspar li ją swoimi talentami, intelektami, temperamentami. Ale na kierunek jej rozwoju wywarli wpływ minimalny. W planach strategicznych udziału nie mieli. Robili tylko wypady z linii frontu wytyczonej przez kogo innego.

Popatrzmy natomiast na skamandrytów. Wesołe, zgrane towarzystwo jednego rocznika: Tuwim — 1894, Wierzyński — 1894, Iwaszkiewicz — 1894, Słonimski — 1895. Jeden Lechoń 1899, ale to polski Rimbaud. Związki przyjaźni sprawdzone, bo datujące się od „Pikadora" i „Pro arte", wzmacniane na pięterku „Ziemiańskiej", w „Qui pro quo", w szeregu facecji. To była grupa. Jedyna grupa poetycka w Polsce w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Bo w grupie poetyckiej pierwiastek osobistego przystawania gra rolę kto wie, czy nie pierwszorzędną. Poza tym brak teoretyków, więc spontaniczność. Tendencja dośrodkowa. Gdzie to wszystko w awangardzie? Wniosek: o awangardzie możemy mówić jako o kierunku, nie jako o środowisku. Pod tym względem ustępowała choćby „żagarystom", którzy stanowili zwartą społeczność artystyczną, mimo że wspólny mianownik dla postawy Miłosza i Zagórskiego znaleźć raczej trudno.

A jaki kierunek zyskał preponderancję zaraz po wojnie? Awangarda. Trochę dlatego, że wojna nie przerwała Skamandrowi, przerwała natomiast awangardzie, ale głównie przez znaną właściwość Przybosia, który o nową (czytaj: swoją) poezję walczył tak utworami oryginalnymi, jak publicystyką i zabiegami natury organizacyjnej. Przyboś lubił zjednywać. Ze szkicu Sandauera „Głos rozdzielony na czworo" dowiedzieliśmy się, że Sandauer orędował Białoszewskiemu, Błoński Herbertowi, ktoś tam komuś, a Przyboś Drozdowskiemu. Niezależnie od samego faktu „orędowania", które nie wiadomo dlaczego utrzymuje się wśród praktyk życia literackiego w Polsce, zdumiewa połączenie nazwisk. Przyboś Drozdowskiemu? Mimo tak różnych poetyk? Widocznie kandydatów nie wystarczy-

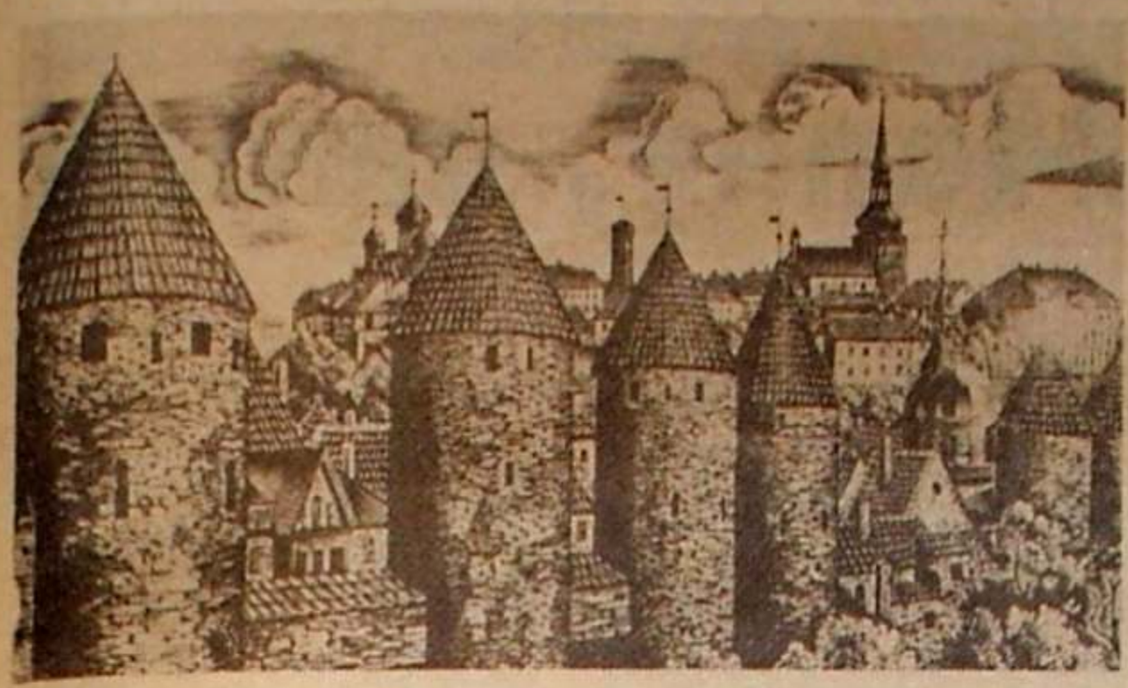

Baszty Tallinna. Ryc. Paula Luhteina

silij Szukszyn, marzył o stworzeniu epopei filmowej osnutej tematycznie na bohaterskim zrywie powstańczym Stiepana Razina. Oprócz powieści napisał już i opublikował scenariusz do filmu. Gdy niewczesna śmierć udaremniła jego zamierzenia, spadkobiercy upoważnili do teatralnej inscenizacji dzieła właśnie rosyjski teatr dramatyczny w Tallinnie. Odpowiedzialną pracę wykonał główny reżyser teatru, zasłużony artysta ESRR, Witalij Cziermieniew. Mówi on w programie spektaklu: *Jest to pierwsza próba scenicznego przeistoczenia powieści Szukszyna. Dążyliśmy do wcielenia jej podstawowej myśli, tworząc spektakl o tragicznych dziejach wybitnej jednostki, bohatera skazanego na klęskę, ponieważ wielkie jego poczynania natrafiły na zdradziecki opór wrogów ludu i nie znalazły oparcia w masach ludowych.*

Inscenizator (Cziermieniew), scenograf (Toomas Peil) oraz aktorzy osiągnęli wytknięty sobie cel. Dzięki grze pełnej pasji ideowej i artystycznej i dzięki „lapidarnej" scenografii, zredukowanej do ściśle niezbędnych elementów, uwaga widza koncentruje się na doniosłym słowie pisarza. Do najbardziej udatnych scen należy moment podarcia przez Stiepana na strzępy carskiego *ukazu*, tego znaku *„bumażnoj dierżawy"*, papierowego mocarstwa (przypomniał mi się wiersz Majakowskiego „Straszne papiery"). Mocnym uderzeniem był celujący w kontraście tonu zatarg między Razinem (Aleksiej Zacharow) a podstępnym reakcjonistą Korniejem Jakowlewem (zasł. art. ESRR Jewgienij Własow)

Nie mogę odżałować, że nie mieściło się w naszym czasie Tartu (dawniej kolejno: *Dorpat, Jurjew*). Byłam kiedyś związana z tym miastem przez korespondencję z przeniesionym tymczasowo na jego uniwersytet moim profesorem, znakomitym uczonym Eugeniuszem Tarle, który kierował mymi studiami nad administracją prefektoralną za Napoleona I. W Tartu działa od roku 1870 znakomity Teatr *„Vanemuine"*, od którego zaczyna się historia teatru estońskiego.

Uprzejmi gospodarze urządzili wszelako w Tallinnie specjalnie dla naszej grupy krytyków popołudniowy pokaz spektaklu *„Hoolimatu armuke"* (*„Le Bel indifferent"*) Jeana Cocteau, na eksperymentalnej scenie *ENSV Riiklik Noorsooteater*. U nas tłumaczył „Pięknego a nieczułego" w latach pięćdziesiątych Stolarek. Estońscy artyści dali prawdziwy koncert gry, częściowo dosłowny, gdyż był to mistrzowski „duet", skomponowany z żarliwych słownych perswazji zakochanej kobiety a instrumentalnych replik obojętnego ich „adresata". Miłosnym zmaganiom na ringu (u nas zbyt ogranym) towarzyszyła jako muzyczny motyw przewodni melodia czarującej starej piosenki francuskiej, której słowa odżyły w mej pamięci: *„Plaisirs d'amour ne durent qu'un moment, chagrins d'amour durent toute la vie"* (obyście, młodzi, nie przekonywali się o tym poniewczasie!).

Poza spotkaniami teatralnymi, informującymi dowodnie o postępowych tendencjach teatru estońskiego i coraz szybszym wzrastaniu frekwencji na widowni, wspominam również z dużą satysfakcją wizytę w estońskim oddziale Zrzeszenia Towarzystw Przyjaźni i Łączności Kulturalnej z Zagranicą.

No i oto dobiega końca nasza króciutka podróż-przygoda zagraniczna (nawiasem — pytanie: proszę mi powiedzieć, dlaczego po kraju zazwyczaj się p o d r ó ż u j e, a za granicą koniecznie w o j a ż u j e? Czy nie czas skończyć z tym komunałem terminologicznym?). W Leningradzie wylądowaliśmy w nowym, komfortowym hotelu „Moskwa". Program dla grupy przewidywał: „autokarowe" zwiedzanie miasta, oglądnięcie wnętrza soboru *Isaakijewskiego*, przemarsz przez Ermitaż i małą wyprawę do Pawłowska, dokąd chętnie pojechałam powspominać dawne koncerty publiczne w parku letniej rezydencji carskiej. Na resztę programu wyłączyłam się z koleżeńskiej grupy dla indywidualnego odnawiania przeżyć.

I cóż mam pisać o tym najbardziej stylowym, w świecie mieście? Coraz więcej osób od nas tam jeździ, *ergo* napisano już dużo-dużo. Zresztą — rzecz najważniejsza — przed kilku miesiącami ukazał się i momentalnie został rozchwytany „Petersburg" Jarosława Iwaszkiewicza (złapałam egzemplarz przypadkowo w foyer Teatru im. C. Norwida na Jeleniogórskich Spotkaniach Teatralnych). Więc gdzie już mi tam przykładać się do komunikowania ludziom w druku mych ostatnich wrażeń! Należało raczej pomyśleć w swoim czasie o książce poświęconej jedenastu latom szkolnym i studenckim w Sankt-Petersburgu. Tylko że...

Jarosław Iwaszkiewicz jechał niedawno do Leningradu po raz pierwszy, ale z ogromnym bagażem literackim, co zaś do mojej skromnej osoby, „zawieziono" ja z rodzinnej Warszawy w wieku dziecięcym, nie miałam, dalibóg, w mym tornistrze pilnej uczennicy nic oprócz paru elementarzy i, jak się okazało — żadnej buławy marszałkowskiej...

W tej chwili strzeliła mi jednak do głowy szalona myśl: może by się jeszcze zdążyło...? Taką niedużą opowiastkę sentymentalną...? Przeciwstawiającą rozczarowaniom — „patrzenie sercem"?

Po tym akcencie czułostkowym kończę relację z „wyjazdu szkoleniowego" Klubu Krytyki Teatralnej zwięzłym odnotowaniem, że widzieliśmy w Leningradzkim Akademickim Wielkim Teatrze Dramatycznym im. M. Gorkiego arcydowcipną *„powieśt' dla tieatra w żanrie satiry"* W. Szukszyna pt. „Energiczni ludzie", która niebawem ukaże się n naszych scenach. Poza tym udało się nam zobaczyć, niestety tylko połowę (pociąg do Warszawy był już niemal podstawiony) — świetnego przedstawienia tragedii klasyka-poety Aleksego Tołstoia „Śmierć Iwana Groźnego", w Teatrze im. W. F. Komissarżewskiej, cudownej artystki, która tyle razy — no tak, w ten sposób nigdy by się nie postawiło ostatniej kropki!

ło, a potrzebie mistrzowania musiało się stać zadość.

Złudny jest jednak termin „postawangarda". Błędne mniemanie, że w dzisiejszej produkcji poetyckiej zachowało się choć echo imprezy „zwrotnicowej". Przekonał się o tym sam Przyboś, który „Odą do trupistów" zmuszony został do wyrażenia votum nieufności pod adresem swych in spe czeladników. Do poezji weszła nijakość. Wprowadzana tam przez Różewicza i jego naśladowców. Nijakość, której legitymacją było powtarzane przekonanie, że żadna literatura nie sprosta kataklizmowi lat 1939—1945, wobec czego piszący jest zwolniony od wysiłku, wystarczy, jeśli gaworzy. Zły pieniądz wypiera dobry, stało się. Ulgowa taryfa poetycka objęła wszystkie linie. Mutatis mutandis na obraz współczesnej poezji składa się estradowo-cyrkowa hałaśliwość Brylla, cepeliowskie wizjonerstwo Harasymowicza, przyczesana na interesującą zgrzebność strofka Nowaka, „kulturowe" gawędziarstwo Herberta, by nie wspomnieć o tłumie Hamletów, którzy „przy kordelasach i przy zegarkach" „być albo nie być" wołają chórem (Gałczyński).

Współczesna poezja nie szuka własnej przeszłości. Współczesna poezja szuka własnej przyszłości. Stąd cała zawiera się w happeningu. Co jeszcze nie było grane — oto zasada jej poszukiwań niezależnie od faktu, że „to" może być wersem złamanym w semantycznie najnieodpowiedniejszym miejscu, dwukropkiem na początku tekstu, zbiorem konstatacji, przed których banałem ucieka nawet nieambitna proza, nagromadzenie obscenów, jakim równych nie znajdziesz w publicznym szalecie. Coś, czego jeszcze nie było plus maksymalny szok — czy nie ku temu wyrywa się wszelki happening? Nie ma refleksji teoretycznej, ponieważ nie ma należytego skontrastowania zjawisk. Zresztą teoretyczna rozprawa z powodzeniem może być napisana (czytaj: ujęta graficznie) jako wiersz.

W tych warunkach tom Kurka ma dane natrafić na czytelnicze oczekiwanie i spełnić je. W pewnym stopniu je spełnia, wszelako tymi partiami tekstu, które nie realizują zasadniczej idei. Bo zasadnicza idea jest wątpliwa. Tytuł brzmi „Zmierzch natchnienia?". Czyżby więc awangardzista bolał nad zaniechaniem postawy zwalczanej już w okresie klasycznym jego szkoły? Nawet jeśli nie, to dziwi samo wyniesienie tego terminu do tytułu rozważań. O natchnieniu awangardzista powinien albo nic, albo krytycznie. A przynajmniej nie na pierwszym planie. Tutaj czytelnik ma prawo zrobić duże oczy, a Peiper przewrócić się w grobie.

I czy dopiero teraz mamy zauważyć, że współczesna poezja jest antyemocjonalna, antyspontanistyczna, antyintuicjonistyczna? Wiemy o tym od pewnego czasu, natomiast od uczestnika nowatorskiego ongiś ruchu ciekawi bylibyśmy usłyszeć opinię na temat, jak jest dziś realizowany wiecznie aktualny — i przez to aż tradycyjny — postulat nowości. Zarzuca Kurek współczesnej poezji, że nie uznaje tego, co kiedyś nazywano natchnieniem. Odpowiedź z jej strony może być prosta: wcale mi na nim nie zależy, a utwierdza mnie w tym stanowisko wyrażane w czasopiśmie pt. „Linia", redagowanym w latach 1931—1933 przez Jalu Kurka. Zresztą sam autor nie jest zdecydowany jak tę poezję określić. Mówi raz: „Stąd też pochodzi m. in. nowatorski, poszukujący, odrębny, zaawansowany charakter aktualnej ekspresji poetyckiej" (str. 53). Drugi raz: „A więc może mniej paplaniny, więcej prostoty, mniej filozofii, więcej uczucia. Męczy nas orkiestra dęta, czekamy raczej na intymne solo" (str. 97). Podobnie wykluczających się stwierdzeń możemy znaleźć więcej.

Podsumujmy. Czy książka Kruka zajmie miejsce w sporze o charakter współczesnej poezji? Jest na to zbyt niedokładnie zaadresowana. Czy wydobywa klimat Sturm und Drangeperiode awangardy? Zbyt niecierpliwie śpieszy do współczesności. Czy może stanowić coś w rodzaju wyznania wiary, próby autobilansu? Przeszkadza jej w tym polemiczny i mało refleksyjny temperament. Nie znaczy to jednak, że nie ma stron wnoszących wiele żywego spojrzenia. Na przykład ta o Marinettim.

---

* Jalu Kurek. „Zmierzch natchnienia?" Wydawnictwo Literackie, 1976, str. 209, cena 20 zł.

Teatr im. J. Osterwy. Roger Vitrac — „Wiktor albo dzieci u władzy". Henryk Sobiechart (Wiktor) i Elżbieta Skrętkowska (Estera)

Fot. Zbigniew Zugaj

Omówienie tego spektaklu eksperymentalnego ukaże się w „Kamenie" łącznie z recenzją premiery sztuki Ernesta Brylla „Po górach po chmurach".

Stanisław Skarbek

operowano syzyfa

z kamienia syzyfa
niemoc wyjęta
bez kropli potu

(operacji dokonano stosując
najnowsze
nici wyobraźni które po kilku
dniach
same się rozpuszczają
w codzienności)

upojony zwycięstwem
twarz rozłożył
nad własnymi myślami

(w skład zespołu wchodzili
lekarz d/s głowy
lekarz d/s tułowia
lekarz d/s kończyn dolnych
i górnych
lekarz d/s lekarz d/s lekarz d/s)

jak przepłacony towar
poczuł to i od nowa
pchnął swój kamień
przed siebie
(lekarz lekarz lekarz
d/s d/s d/s
rozłożyli ręce)

Fot. Janusz Mendychowski

WOLNE SOBOTY A SZKOŁA

MIKROWYWIADY Z DYREKTORAMI

W WOLNE soboty szkoły pracują swoim normalnym rytmem. W tym czasie rodzice wielu uczniów porządkują mieszkania, załatwiają zaległe sprawy i wizyty towarzyskie, wyjeżdżają na weekendy. Niektóre z tych czynności aż proszą się o obecność dzieci, a weekend bez syna czy córki jest wręcz nie do pomyślenia — tak przynajmniej można przypuszczać, opierając się na prywatnych rozmowach ze znajomymi. Czy więc wolne soboty zakłócają pracę szkół, czy mają jakiś wyraźny wpływ na frekwencję uczniów? — z takim pytaniem zwróciliśmy się do kilku dyrektorów lubelskich szkół podstawowych i liceów ogólnokształcących. Było to w pierwszą sobotę stycznia 1977 r.

JAN MITURSKI, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 3: — Owszem, w wolne soboty obserwujemy pewną absencję w klasach, przede wszystkim w cieplejszych porach roku, kiedy ludzie, dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, zaczynają wyjeżdżać poza miasto. Opuszczają wówczas szkołę te dzieci, których rodzice posiadają samochody. Ale nie widzę w tym nic złego, ostatecznie podczas dwóch dni weekendu uczeń regeneruje siły. Zresztą w wolne soboty celowo przerabiamy mniej materiału.

ADAM GODZISZ, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 2: — Nie, sobota jest całkowicie normalnym dniem pracy, dzieci nie opuszczają lekcji, bez względu na porę roku. Wynika to zapewne ze specyfiki rejonu naszej szkoły. Tutaj dużo ludzi posiada własne domki z ogródkami, więc wyjazdy poza miasto nie wchodzą w rachubę, bo właściwie stale jest się poza miastem. Dość często natomiast w wolne soboty pojawiają się w szkole rodzice, zainteresowani nauką swoich dzieci. Na takie konsultacje wyznaczyliśmy co prawda inny dzień tygodnia, sobotnie rozmowy rodziców z nauczycielami odbywają się z konieczności podczas przerw między lekcjami, co jest dla nas dość kłopotliwe, ale ostatecznie lepsze są takie kontakty, niż żadne.

HENRYK ZBĘK, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 10: — Nie ma problemu, wolne soboty nie różnią się od innych dni pracy. No bo jeśli na 38 dzieci w klasie brakuje dwoje?! W tym czasie tylko w półinternacie i klasie przedszkolnej pojawia się mniej dzieci, ale to zupełnie zrozumiałe i nie kłopotliwe.

WIKTOR ADAMCZYK, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 21: — Wróciłem właśnie z lekcji w klasie VII — nie brakowało ani jednego ucznia. Nieco inaczej bywa w wolne soboty wiosną, ale także nie robiłbym z tego problemu. Ci nieliczni rodzice, którzy pragną wówczas zatrzymać dzieci przy sobie, uzgadniają to wcześniej ze szkołą. Owszem, w klasie przedszkolnej w wolne soboty dzieci jest znacznie mniej, ale czy to takie złe, jeśli dziecko korzysta z okazji dłuższego przebywania z matką?!

EWA GLEŃ, zastępca dyrektora Szkoły Podstawowej nr 24: — W klasie przedszkolnej mamy 49 dzieci, gdy tymczasem dzisiaj pojawiło się tylko jedno. W klasie VII b brakuje ośmiu uczniów. W niektóre dni absencja bywa tak znaczna, że po prostu zwalniamy wychowawców. Zimą można jeszcze wytrzymać, ale latem jest bardzo źle. W piątki rozdzwaniają się telefony od rodziców, którzy proszą o zwolnienie syna czy córki z zajęć. Co mamy robić, zgadzamy się, choć ta absencja szalenie utrudnia nam nauczanie, uniemożliwia podejmowanie nowych tematów, przeprowadzanie klasówek. Tak, najczęściej opuszczają szkołę dzieci rodziców posiadających samochody. Środowisko społeczne? Znaczna grupa uczniów to dzieci pracowników Akademii Medycznej i UMCS. Wolne soboty a szkoła — ten problem wymaga rozwiązania.

JERZY MICH, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 26 (specjalnej): — Nasze dzieci nie opuszczają zajęć w wolne soboty. Swego czasu przejęliśmy klasę specjalną ze szkoły w Kalinówce koło Świdnika, skąd regularnie dowozimy je do Lublina. W wolne soboty samochód jednak nie kursuje, ale przynajmniej 60 procent 24-osobowej grupy tych uczniów dociera do szkoły: autobusami PKS, czy nawet taksówkami.

WIESŁAW PISARSKI, dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. St. Staszica: — W szkole średniej nieobecność ucznia na lekcji jest dla niego nieopłacalna; program nauczania narzuca znaczne reżimy. Wiosną? Tak, rodzice posiadający samochody częściej zabierają dzieci na weekendy, ale nie występuje to w szerszej skali. Zwalniamy je z zajęć, bo wolne soboty stwarzają całej rodzinie możliwość żywszego kontaktu z sobą.

HALINA PIWOWARCZYKOWA, zastępca dyrektora V Liceum Ogólnokształcącego im. M. Skłodowskiej-Curie: — W wolne soboty zawsze obserwujemy nieco większą absencję uczniów, przede wszystkim wiosną. Nie, rodzice nie proszą wcześniej o zwolnienie dziecka, dopiero po fakcie je usprawiedliwiają.

* * *

Z wypowiedzi wynika, że wolne soboty w zasadzie nie zakłócają pracy szkół. Sytuację Szkoły Podstawowej nr 24, położonej w centrum miasta i działającej w dość specyficznym środowisku, można uznać za wyjątkową. Ale: jak długo jeszcze, wobec rozwoju indywidualnej motoryzacji chociażby, szkoła ta zachowa owe szczególne przodownictwo, utrudniające życie nauczycielom?! Do niewesołej refleksji skłania przecież coś innego: że posiadanie samochodu przez rodziców niektórych uczniów stwarza tym ostatnim wygodniejszą, lepszą pozycję w szkole, co nie uchodzi uwagi pozostałych uczniów. Jest to zresztą tylko przyczynek do ogólniejszej kwestii r ó w n o ś c i w środowisku szkolnym. Dziewczęta z zamożniejszych domów przychodzą na lekcje w sweterkach po dwa tysiące, w butach po 3500 — prosto z „Pewexu" czy komisu, a na zabawach szkolnych dziesięcioletnie smarkule paradują w wieczorowych, bez przesady, kreacjach! Wobec tej kostiumologii nauczyciele są bezradni i tylko po cichu wspominają czasy demokratycznych mundurków szkolnych. Zastanówmy się nad tym.

IJK

Money, money

DNIA tego i tego w Lublinie, działając w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, poprzez kłamliwe zapewnienie zwrotu pieniędzy wyłudził od obywatela takiego i takiego tyle i tyle tysięcy złotych — to sformułowanie powtarza się najczęściej w akcie oskarżenia. Zakłada ono winę umyślną oskarżonego, że mianowicie przyjmował od różnych osób pieniądze pod pretekstem pożyczki, ale nie zamierzał zwracać długów. Czyli oszustwo.

Z materiałów zebranych w śledztwie wynika, iż pewnych, bardziej niecierpliwych i nalegających wierzycieli częściowo spłacił — na ogólną kwotę ponad 300 tysięcy złotych; pozostał winny ludziom blisko milion.

Oskarżony, nazwijmy go Józef Tukan, ma 35 lat. Żonaty, dwoje dzieci. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy go bliżej znali. Od których nigdy nie pożyczał pieniędzy. Od których pożyczał i oddawał. Od których pożyczył i nie oddał. Opinie są zbieżne.

Był chlubą swego liceum — dobry uczeń i wybitny sportowiec. Uprawiał wyczynowo biegi średnie przez blisko dziesięć lat. Członek kadry narodowej, mistrz i reprezentant Polski. Po zakończeniu kariery sportowej pracował w instytucjach państwowych i studiował zaocznie w AWF. Otrzymał w pracy nagrodę za ukończenie studiów wyższych z wynikiem dobrym. Ostatnio zarabiał około czterech tysięcy. W ciągu pięciu lat czterokrotnie awansował zawodowo. Podobno w czasach sportowych wojaży trudnił się drobnym handelkiem, lecz w rozliczeniach był uczciwy i akuratny. W kolegium i w izbie wytrzeźwień nie notowany. Nie karany. Nie pije, na dziewczyny nie chodzi, z gier karcianych uznaje brydża i kierki na niewielkie stosunkowo stawki. Inteligentny, elokwentny, koleżeński, uprzejmy, układny nawet.

Nie dziwota, że mu pożyczali. Kto mógł podejrzewać takie zakończenie! Gdyby się solidaryzować z myśleniem czysto prokuratorskim, to sprawa ostatecznie jest prosta. Józef Tukan został oskarżony o, dokonywane w ciągu trzech lat (IX 1973 r. — VIII 1976 r.), oszustwa (20 zarzutów) i przywłaszczanie cudzego mienia (5 zarzutów). W sumie idzie właśnie o ten milion, jakby wynikało z zeznań poszkodowanych, których jest dwudziestu czterech.

W tej sprawie jest parę charakterystycznych momentów. Z milionowego długu blisko 900 tysięcy złotych to rezultat pożyczek zaciągniętych przez Tukana w okresie od października 1975 r. do sierpnia 1976 r., a więc w ciągu niespełna roku. Albowiem jesienią 1975 r. ów były mistrz i reprezentant Polski, magister AWF, postanawia handlować owocami. Instaluje się na targowisku. Zaczyna pożyczać pieniądze na zakup towaru.

„Zastanawiałem się, dlaczego taki porządny facet stoi między przekupkami. Ale on powiedział, że ma kłopoty finansowe, bo go okradli, i musi się odkuć" — stwierdza jeden z wierzycieli. Innemu Tukan oświadczył, iż to żaden wstyd handlować, a na owocach najlepszy interes.

Kiedy uprawiał sport wyczynowy, był kimś, wygrywał. Może później z trudem godził się, że trzeba żyć jak zwyczajny człowiek? Może mu to zwyczajne życie wydawało się zbyt miałkie? Tu, widzi, koledzy-sportowcy lepiej się ustawili, zostają inżynierami, dyrektorami, mają samochody, gotówkę. Tam szwagier, ledwo krawiec, bogato wżeniony, zakłada świetnie prosperującą hodowlę kur. Więc i Tukan postanowił zagrać. O najbardziej trywialną stawkę — pieniądze właśnie. Porzuca państwową posadę, zostaje prywaciarzem.

Liczył się chyba z ryzykiem towarzyskiej degradacji, aczkolwiek nie za cenę przestępstwa. Zresztą on, zdaje się, uważał, że pieniądz nie śmierdzi, tylko nobilituje. Może myślał z początku: pożyczę na zakup towaru i samochodu dostawczego, pohandluję, zarobię, oddam długi i zacznę się szybko odkuwać? Na owoce i na samochód — takie podawał ludziom cele pożyczek. Wierzyciele Tukana to w większości jego koledzy i dobrzy znajomi, rzecz dość niezwykła jak na typowe oszustwo. Sześciu byłych sportowców wyczynowych, a wśród nich dyrektor, pracownik naukowy i milicjant. Dwu partnerów od stolika brydżowego, w tym dyrektor poważnej firmy. Eme-

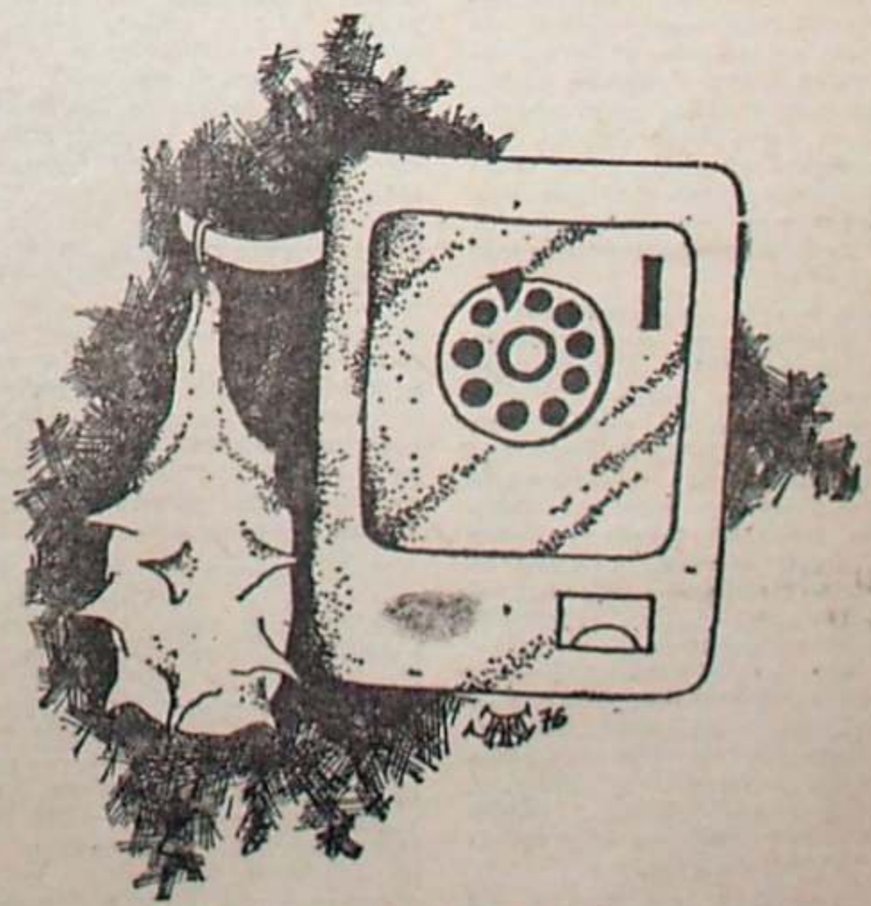

Rys. Jan Kilkowski

w sumie milion

Maciej Podgórski

rytowany dyrektor liceum, w którym Tukan ongiś się uczył. Czterech kolegów Tukana z instytucji, gdzie ostatnio pracował, a wśród nich jeden jego powinowaty.

Brał pieniądze od ludzi, z którymi utrzymywał kontakty towarzyskie, którzy bywali u niego w domu. Obiecywał krótkie terminy spłaty pożyczek — dwa tygodnie, miesiąc. Dopiero potem, jak mu się owe terminy poczęły wydłużać, musiał unikać znajomych-wierzycieli, nachodzących go w mieszkaniu czy na targowisku. Uciekał, nie podnosił słuchawki dzwoniącego telefonu. Słowem — ścigany, zanim jeszcze organa ścigania się nim zajęły. Pewnego razu były skoczek wzwyż i były trójskoczek, obaj wierzyciele Tukana, pukali bezskutecznie do jego mieszkania, więc napisali na drzwiach czerwoną farbą: JÓZEK, ODDAJ KOLEGOM PIENIĄDZE! Następnie zeszli po cichutku na półpiętro i poczekali. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły i Tukan zaczął białą farbą zamalowywać nieszczęsny napis. Wywiązał się wtedy w tym lekkoatletycznym towarzystwie normalny boks!

Pośród poszkodowanych z pewnością są tacy, którzy pożyczali Tukanowi pieniądze z poczucia koleżeństwa i czują się szkaradnie nabrani. Nie chcieli pokwitowań, procentów, wierzyli na słowo, zawiedli się, ale nie poszli ze skargą do prokuratury czy MO, bo kumpel przecie. Inni znowu nie lubią się włóczyć po sądach, choć Tukan ich dalszy znajomy, więc mogliby go skarżyć. Jeszcze inni nie skarżyli, bo się bali, że dłużnik pójdzie siedzieć i niczego nie zwróci, a tak to można odeń coś jeszcze wydusić.

Jestem wszak przekonany, iż część wierzycieli nie ma po prostu czystego sumienia ze względu na bardzo wysoki procent, jaki miał im płacić Tukan od pożyczonych kwot. Dwie osoby zresztą przyznały się do przyjęcia sporych sum od Tukana tytułem odsetek. Ta okoliczność nieco osłabia niektóre punkty oskarżenia.

Byłaby do wyjaśnienia pewna kwestia prawna. Odpowiedni artykuł kodeksu cywilnego głosi, że „kto w pieniężnych stosunkach kredytowych zastrzega lub pobiera korzyści majątkowe przewyższające wysokość odsetek, określoną w rozporządzeniu Rady Ministrów, podlega karze aresztu do lat dwóch i grzywny albo jednej z tych kar". Rozporządzenie Rady Ministrów z 23 XII 1964 roku określa wysokość odsetek ustawowych na 8% w stosunku rocznym, zaś maksymalnych — na 12%. Wierzyciele Tukana mogą sobie poczynić ciche porównania.

I jeszcze jedno. Fragment rozporządzenia Rady Ministrów z 29 XII 1975 roku, obowiązującego od 1 I 1976 roku: „Opłata skarbowa od umowy pożyczki udzielonej przez osobę fizyczną lub jednostkę organizacyjną nie będącą jednostką gospodarki uspołecznionej, jeśli pożyczka przekracza kwotę 10 000 zł, wynosi 2%." Obowiązek uiszczenia tej opłaty spływa solidarnie na dłużnika i wierzyciela. Przy czym umowa pożyczki nie musi być koniecznie stwierdzona na piśmie, a jedynie ustnie, co nie zwalnia od opłaty skarbowej. Dura lex, sed lex. I dobrze, aby obywatele, świadczący sobie usługi kredytowe, o tym wszystkim wiedzieli.

Lecz powróćmy na grunt materiałów śledztwa. Faktem jest, że Tukan skupował towar od badylarzy lub sadowników i handlował nim. Od pewnego zegarmistrza, cichego zresztą wspólnika w Tukanowych interesach owocowych, chciał nabyć żuka na raty, ale zegarmistrz żądał gotówki. Tukan parę razy wypożyczał ten samochód dla przewozu owoców, aż go w końcu rozbił (postępowanie karne zostało umorzone na roczny okres próby), a sam doznał obrażeń i musiał się leczyć.

Ale tu już wkraczamy na teren niepowodzeń handlowo-organizacyjnych w działalności Tukana. 21 IV 1976 r. wpływa do prokuratury skarga jednego z wierzycieli, partnera brydżowego zresztą, że Tukan zalega mu od kilku miesięcy z oddaniem 70 000 złotych. Prokurator wzywa dłużnika, poucza o odpowiedzialności karnej, dłużnik pisze zobowiązanie, iż zwróci w ratach i na razie nie ma sprawy.

22 VI 1976 r. wpływa do prokuratury doniesienie pewnego sadownika, że w styczniu Tukan obiecał mu załatwić kupno opryskiwacza, na to konto zainkasował 50 000 złotych i zniknął. Sadownik pisze: „Teraz jeżdżę do Lublina. Tukana trudno zastać. Obiecanego opryskiwacza nie ma, jak też nie zwraca mi pieniędzy. Widzę, że unika mnie i pieniądze mogą przepaść".

Przez cały lipiec Tukan przebywa na ćwiczeniach wojskowych, więc nie może handlować. 12 VIII od wierzyciela-brydżysty wpływa do prokuratury oficjalne doniesienie o przestępstwie, ponieważ Tukan nie wywiązuje się ze spłat ratalnych. 18 VIII Tukan ma wspomniany wypadek samochodowy, leczy się, nie handluje. Tymczasem materiał śledczy przeciwko niemu rośnie i 12 X Tukan zostaje aresztowany. Zeznaje m. in., że początkiem jego niepowodzeń handlowych było zepsucie się dużej partii towaru (jabłek, orzechów włoskich) jeszcze w 1975 roku. Musiał pożyczać na działalność handlową, zamierzał oddać. Zresztą czasem od jednych pożyczał, żeby oddać drugim. Finansowo zgubiły go nieprzewidziane przerwy w prowadzeniu interesów.

Tukan przyznaje się na raty. W związku z czym milicja prosi prasę codzienną o wydrukowanie następującego komunikatu: „Osoby, które w latach 1975—76 pożyczały lub dawały pieniądze na załatwienie spraw, względnie dawały w depozyt owoce Józefowi Tukanowi (w komunikacie pada oczywiście autentyczne imię i nazwisko, adres zamieszkania podejrzanego) i odtychczas zwrotu pieniędzy nie otrzymały, proszone są o osobiste lub listowne zgłoszenie się do komisariatu (tu numer i adres) celem złożenia zeznań".

„Kurier" zamieszcza komunikat następującej treści: „OSZUST. Milicja poszukuje oszusta, który działał na terenie Lublina. Józef Tukan (tu oczywiście autentyczne imię i nazwisko), syn Józefa, zamieszkały w Lublinie przy ul. (tu pełny adres), brał w depozyt owoce, pożyczał i przyjmował pieniądze na załatwienie różnych spraw, oczywiście nie dotrzymując słowa. Oszukani przez Tukana są proszeni o złożenie zeznań w (tu numer komisariatu i adres)".

Smutno się robi, kiedy się czyta taki radosny przykład twórczości dziennikarskiej. Trzeba przyznać, że milicja wykazała tu znacznie więcej taktu i znajomości podstaw prawa niż redakcja gazety. Przede wszystkim milicja nigdy nie poszukiwała Tukana, bo on się przed milicją nie ukrywał, a kiedy gazeta została poproszona o wydrukowanie komunikatu, dawno już siedział w areszcie! Ale to jest drobiazg. Gorzej, że zanim podejrzany został oficjalnie postawiony w stan oskarżenia przez prokuraturę, gazeta już go właściwie skazała za oszustwa! Tymczasem podejrzany, a następnie oskarżony, ma — jak każdy obywatel — prawo do bezstronnego i rzetelnego procesu sądowego, podczas którego może się bronić, dopóki zaś nie zapadnie prawomocny wyrok skazujący, taki człowiek jest w świetle prawa niewinny.

W piśmie do prokuratury z 24 X 76 r., prosząc o warunkowe zwolnienie z aresztu, Tukan oświadcza: „wszystkie pobierane pieniądze traktowałem jako pożyczki, które miałem najszczerszy zamiar zwracać". Przypuszczam, że było trochę inaczej. Początkowo pożyczał, a pożyczano mu chętnie z myślą o wysokim procencie, i liczył, iż odda, częściowo zresztą oddawał. Potem w pewnym momencie przestał już wierzyć w swoją wypłacalność, aż wreszcie świadomie zaczął popełniać oszustwa, zaczęło mu być jakby wszystko jedno.

Tukan nie posiada nieruchomości, samochodu, konta bankowego lub książeczki PKO, i prokurator zastanawia się, gdzie może być milion? Oskarżony powiada, że zepsuł mu się towar na 300 tysięcy złotych, zaś choroba kosztowała go 80 tysięcy. Niechby w ciągu roku wydał 100 tysięcy na dostatnie życie. Powiadają koledzy, iż — jednak! — 100 tysięcy przegrał ze straganiarzami w pokera. Nawet przyjąwszy takie rozchody, w dalszym ciągu nie wiadomo, gdzie może być ponad 400 tysięcy.

W marcu 76 r. żona Tukana złożyła pozew o alimenty od męża i wyrokiem sądu z 6 IV przyznano jej 3 500 złotych na dwoje dzieci. 10 VI złożyła pozew o podział ustawowej wspólności majątkowej z mężem. 22 VI sąd zniósł tę wspólność. Małżonka Tukana pisała wówczas do sądu, że stale ją niepokoją dłużnicy męża. „Sytuacja jest nie do zniesienia. W tych warunkach nie chcę z pozwanym mieć nic wspólnego, wyrządził mi wielką krzywdę i unieszczęśliwił rodzinę". Ale rozwodu nie wzięli, a kiedy poszedł siedzieć, ona mu zaczęła wysyłać paczki z żywnością, ciepłą bielizną, swetrami, skarpetkami.

Prokurator podejrzewa, że za tym wszystkim kryje się zmowa małżonków. Wobec podziału małżeńskiej wspólności majątkowej Tukan praktycznie jest nieściągalny dla wierzycieli. A ponieważ alimenta mają pierwszeństwo przed wszystkimi roszczeniami, więc Tukan, jeśli zapadnie wyrok skazujący, po odsiedzeniu „swego" może nawet stanąć do pracy, nadal dla wierzycieli będzie praktycznie nieściągalny. Czyżby on sobie to wykalkulował — że opłaca się w końcu posiedzieć, aby ostatecznie wyjść na wolność i cichaczem dysponować milionem, ulokowanym w twardych walorach i przebiegle gdzieś ukrytym? Za bardzo mi to nie pasuje do sylwetki oskarżonego. Nie jest to bowiem typ zimnego pokerzysty.

HOROSKOPY

Ważne od dnia 8 do 21 II 1977

BARAN
21 III – 18 IV

Ale bieganina! Nie można powiedzieć, aby środek lutego sprzyjał twoim planom osobistym. Trochę sam jesteś winny, że zwaliło się na ciebie tyle pracy. Nie należy się zbytnio irytować, zwłaszcza że z twoimi nerwami nie jest ostatnio najlepiej.

BYK
19 IV – 20 V

Interesujące spotkania, udana zabawa lub prywatka, sporo pogody ducha. Luty to dla ciebie dobry miesiąc. Pamiętaj jednak, aby komuś bliskiemu nie robić przykrości, zwłaszcza że wokół twojej osoby zaczynają krążyć plotki. Są tacy, którzy ci zazdroszczą sukcesów. Staraj się unikać ludzi urodzonych pod znakiem Lwa.

BLIŹNIĘTA
21 V – 20 VI

Ta nowa znajomość przyniesie ci więcej smutków niż radości. Odległość nie sprzyja zresztą kultywowaniu uczuć. Czułe słówka to zbyt mało, aby na nich budować przyszłość. Z finansami, jak zwykle, będziesz miał kłopoty, a czas już, by oddać stare długi. Na dalszą prolongatę nie masz co liczyć.

RAK
21 VI – 22 VII

Nie zawracaj sobie tą sprawą głowy! Żaden dla ciebie interes, a kłopotów będziesz miał sporo. Dobrze, że ufasz ludziom, ale są sytuacje, kiedy zbytnie zaufanie obróci się przeciwko tobie. Dużo może ci pomóc osoba spod znaku Wodnika, ale też nie przeceniaj jej możliwości. Słowem działaj z rozwagą.

LEW
23 VII – 22 VIII

Nie sprawiaj wrażenia, że wszystko już osiągnąłeś, że nie możesz liczyć na żadne sukcesy zawodowe. Fakt, że trochę rozleniwiłeś się ostatnio, że próbujesz jak przez życie zbyt beztrosko. Gdzie twoje dawne ambicje? Strasznie zmieszczaniałeś, a to nie pomaga w pracy.

PANNA
23 VIII – 22 IX

Znowu alkohol i znowu nieporozumienia domowe. Kiedy się wreszcie ustatkujesz? Na ogół wiele spraw ci się udaje, cieszysz się w pracy sympatią, ale nie możesz jej zbytnio nadużywać. Sytuacja finansowa uległa poprawie, w tej chwili naprawdę nie masz powodu do narzekań. Skąd więc ten pesymizm?

WAGA
23 IX – 22 X

Dobry okres, kto wie, czy nie spotka cię awans, ewentualnie podwyżka. Szef jest z ciebie najwyraźniej zadowolony. Jeśli wybierasz się na zabawę karnawałową, zwróć uwagę na osobę, z którą zatańczysz pierwsze tango. Może to właśnie będzie ta wielka miłość?

SKORPION
23 X – 21 XI

Snujesz plany wyjazdu za granicę, a może w tym roku lepiej będzie spędzać urlop w kraju? W domu musisz zachować spokój, zbytnio ponoszą cię nerwy. Na podwyżkę możesz wreszcie liczyć, ale w pracy powinieneś wykazywać więcej inicjatywy. Sprawiasz wrażenie zapracowanego, ale w gruncie rzeczy tej roboty wcale nie masz tak wiele. Inni to widzą!

STRZELEC
22 XI – 21 XII

Niczego nie rób w pośpiechu. Niestety, zdarza ci się to zbyt często, zwłaszcza ostatnio. W domu masz ciągle kłopoty, ale przecież to wyłącznie twoja wina! Spójrz na siebie bardziej samokrytycznie! Wyjazd — jeśli nastąpi teraz — będziesz mógł zaliczyć do udanych. Pamiętaj jednak, aby nie obiecywać zbyt wiele! Po co okłamywać naiwnych?

KOZIOROŻEC
22 XII – 20 I

Nie daj się wykorzystywać, musisz bardziej siebie cenić. Sprawy osobiste układają się teraz nieco lepiej, ale trudno jeszcze w tej chwili powiedzieć, czy „z tej mąki będzie chleb". Nieco ryzykujesz, w razie czego sam będziesz mógł tylko siebie obwiniać. Przyznaj się, czy chwilami nie żałujesz, że „tamta znajomość" już się skończyła?

WODNIK
21 I – 18 II

Humor ci dopisuje, to dobrze. Pewien zastrzyk finansowy bardzo by ci się teraz przydał. Pieniądze nie są jednak najważniejsze. Zwróć baczniejszą uwagę na osobę urodzoną pod znakiem Strzelca. Wyraźnie ją ostatnio lekceważysz. Czy warto tak postępować?

RYBY
19 II – 20 III

Niektórzy zaczęli ci teraz szczególnie nadskakiwać. Zastanów się, dlaczego tak się dzieje, bo przecież odpowiedź jest bardzo prosta. Bardziej selekcjonuj swoich znajomych. Sprawy zawodowe układają się pomyślnie. Byle tak dalej!

Stella

POLEMIKI • POLEMIKI • POLEMIKI • POLEMIKI •

„MIESZCZANIN ROLNIKIEM"

NA MARGINESIE naszej publikacji „Mieszczanin rolnikiem" (Kamena nr 14 z 5.09.1976 r.) chcielibyśmy jeszcze podzielić się z Panem Rzecznikiem Prasowym Ministerstwa Sprawiedliwości, sędzią Alojzym Stokowskim, kilkoma wątpliwościami. Znowu opierając się na społecznym odczuciu, które nie zawsze pokrywa się z paragrafem.

Wiele gospodarstw wiejskich skorzystało z dobrodziejstwa ustawy z października 1971 r. Były wśród nich duże gospodarstwa chłopskie i nie słyszeliśmy dotychczas, by przed uwłaszczeniem regulowano w nich sądownie sprawy spadkowe, choć wielu prawowitych (do 1971 r.) spadkobierców mogło liczyć na ojcowiznę pracując w mieście czy przebywając za granicą. Dlaczego gospodarstwo w Wylągach jest wyjątkiem?

Pan Rzecznik zarzuca nam lekceważenie przepisów. My nazwalibyśmy to raczej ostrożnością w uznaniu ich za słuszne. Bo czy przepis zrównujący w prawach do ziemi inż. Janusza Szczepkowskiego, polskiego obywatela, który od 18 lat prowadzi wzorowe gospodarstwo rolne i Andrzeja Dzierżyńskiego, który w 1957 r. na miesiąc wyjechał do Londynu i dotychczas nie wrócił (przyjął zresztą obywatelstwo angielskie), jest z punktu widzenia społecznego sprawiedliwy?

Władysław Sila-Nowicki wykorzystuje wszystkie furtki prawne (jako adwokat ma w tym pewną wprawę), żeby odwlec uwłaszczenie siostrzeńca — Janusza Szczepkowskiego. Dlatego szuka za granicą spadkobierców, którzy, być może, nigdy nie widzieli Wylągów. Na przykład potomkowie Juliana Siły-Nowickiego i jego siostry, których jeszcze w 1969 r. sąd w Puławach uznał za zmarłych! Kłopoty z odszukaniem rozsianych po świecie spadkobierców mają sami p. Szczepkowscy, tym bardziej więc Urząd Gminy i Miasta Kazimierza Dolnego nie był w stanie przygotować dla sądu w Puławach „wniosku zgodnie z wymogami pism procesowych przeznaczonych dla doręczeń za granicą". Więc czy tylko brak fachowej porady prawnej przeszkadza Urzędowi Gminy w załatwieniu sprawy?

Fakt, że nasze intencje zawarte w publikacji „Mieszczanin rolnikiem" znajdują społeczną aprobatę potwierdza pismo radnych Gminy i Miasta Kazimierz Dolny, skierowane 27.11.1976 r. do ministra Sprawiedliwości i zawierające prośbę o rychłe uregulowanie sporu o ziemię, który wywołuje coraz więcej krytycznych uwag pod adresem władz, nie tylko miejscowych. Chcielibyśmy podkreślić, że szybkie załatwienie tej sprawy jest o tyle ważne, że chodzi tu i o produkcję rolną i opinię publiczną, a także autorytet organów sprawiedliwości.

Małgorzata Sawicka
Henryk Rygier

kultura 1977

FILM

● „Atak na tematykę współczesną" był hasłem wywoławczym powstałego przed dwoma laty zespołu filmowego „Profil". Reżyser Bohdan Poręba zakończył pracę nad pierwszym tego rodzaju filmem pt. „Gdzie woda czysta i trawa zielona" według scenariusza Janusza Bijaty. Bohaterem jest sekretarz organizacji partyjnej w małym mieście, a treścią moralność partyjna, stosunek do tradycji, siła klasy robotniczej, antykontormizm. Drugim celem zespołu jest umożliwianie debiutów — w roku ub. trzech, w bieżącym pięć. Ponadto dla telewizji przygotowuje się serial młodzieżowy „Znak orła".

● „L'Aigle de taiga" (Orzeł tajgi) — taki jest tytuł słynnego filmu Akiry Kurosawy „Dersu Uzała", który pokazano właśnie w Paryżu na tamtejszym festiwalu. Na premierze obecny był jego twórca. Festiwal w Paryżu jest — o paradoksie — uważany za imprezę prowincjonalną w porównaniu z dorocznym festiwalem w Cannes. Nie zyskał jeszcze sławy, nie zjeżdżają gwiazdy z całego świata. A jednak cel jego jest ambitny: pokazania wartościowych filmów, które ukazują się między festiwalami w Cannes.

LITERATURA

● Mało kto pamięta, że to właśnie w jednym z odcinków radiowej powieści „Matysiakowie" padła propozycja zebrania środków na budowę pomnika Bolesława Prusa w Warszawie. 15 stycznia br., niemal 75 lat po śmierci pisarza, odsłonięto jego pomnik na skwerku Krakowskiego Przedmieścia, koło którego przez wiele lat przechodził zdążając do redakcji „Kuriera Warszawskiego". Pomnik jest dziełem rzeźbiarki Anny Kamińskiej-Łapińskiej. I chociaż postać Prusa budzi teraz kontrowersje, to przecież wkrótce pomnik na stałe zrośnie się z Warszawą, którą tak ukochał.

● Ubiegłoroczna produkcja książkowa w Polsce obejmuje około 1500 tytułów beletrystycznych, z czego ponad połowę stanowiły utwory pisarzy żyjących. Zainicjowano serię międzywydawniczą „Kolekcja Polskiej Literatury Współczesnej", która obejmie pozycje powstałe również w czasach wojny. Zakończono pierwszą pełną edycję dzieł Norwida, zapoczątkowano Poli Gojawiczyńskiej: w przygotowaniu pisma zebrane Z. Nałkowskiej, K. I. Gałczyńskiego, J. Tuwima i L. Kruczkowskiego.

● Współczesna poezja gruzińska jest u nas mało znana. Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje jej antologię w opracowaniu Igora Sikiryckiego.

● „Litieraturnaja Rossija" rozpoczęła druk fragmentów pamiętników Tatiany Suchotinej-Tołstoj, dotyczących twórcy „Wojny i pokoju". Rękopis, zresztą w języku francuskim, dostarczyła córka Tatiany, zamieszkała we Włoszech. Całość ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa Chudożestwiennaja Litieratura, wzbogacając naszą wiedzę o Lwie Tołstoju, także od strony życia rodzinnego.

● Londyńska Fawcett Library jest jedyną na świecie biblioteką, gromadzącą wyłącznie dzieła napisane przez kobiety i o kobietach zarówno w Europie jak i w innych częściach świata. Placówce tej do niedawna groził krach finansowy — uratował ją londyński Instytut Politechniczny, który przejął na siebie całe koszty administracyjne i dostarczył nowe pomieszczenia.

MUZYKA

● Trzy lata to okres krótki — a jednak Polski Teatr Tańca, założony i prowadzony przez Conrada Drzewieckiego, stał się w tym czasie placówką, znaną także w Europie. Świadczą o tym tegoroczne zaproszenia, które napłynęły z Norwegii, Austrii, Czechosłowacji, Wielkiej Brytanii, RFN i Irlandii. Zespół przygotowuje nowe spektakle do muzyki K. Szymanowskiego i K. Kurpińskiego. Dotychczasowy repertuar obejmuje 20 pozycji, spośród których „Piotruś i wilk" Prokofiewa został sfilmowany, a dwa następne są przygotowywane do sfilmowania.

● Jerzy Żurawlew, świetny pianista, już nie występuje publicznie. Ale z okazji jego 90 rocznicy urodzin warto przypomnieć, że to właśnie on był inicjatorem i głównym współorganizatorem międzynarodowych konkursów chopinowskich, imprezy znaczącej w kulturze muzycznej świata. Już jako 8-letnie „cudowne dziecko" wystąpił przed Ignacym Paderewskim, który wydał mu wtedy znakomitą opinię.

● Zespół Bejarta wystawił nowy balet pt. „Heliogabal". Są to właściwie dzieje młodego człowieka, który w wieku 15 lat został cesarzem rzymskim, a dwa lata później zamordowany. Jak podkreślają złośliwe krytycy, jest to „studium erotyzmu, ukazujące odwieczny konflikt między rozpasaniem zmysłowym a wschodnim ascetyzmem, równocześnie zaś kombinacją baletu ze współczesnym teatrem". Niektórzy dodają, że Bejart posługuje się „oklepanymi trickami" — ale publiczność tłumnie zapełnia salę.

OPINIE

● „Wartości humanistyczne sportu nie leżą gotowe do wzięcia, trzeba je wypracować i chronić, a przedtem być świadomym ich istnienia i ich wagi — ideowej, wychowawczej, kulturowej. Sport trzeba humanizować „od środka", wnosząc doń więcej wartości ludzkich, szacunku dla człowieka, respektu dla jego potrzeb i praw, pietyzmu dla wyższych wartości kultury. Trzeba go humanizować i „od zewnątrz", zapewniając mu autorytet wśród innych dziedzin i wartości życia społecznego". (Andrzej Tyszka — „Odra" nr 1).

● „Z poezją jest tak zawsze: upadek — wzlot, kryzys — uskrzydlenie, w kółeczko. I chyba niczego tu się nie da zmienić, na szczęście, bo ta spirala świadczy o niezniszczalności sztuki — a w konsekwencji — idei, człowieka, jego duchowego ja". (Poeta radziecki Arseniusz Tarkowski — „Kultura" nr 4).

● „Cywilizacja nie jest dziełem wesołków. Wątpienie i nieufność może zapładniać, dawać impulsy, jednakże awans człowieka i postęp nie z nich się buduje, lecz z pracy i tylko pracy — nakładanej przez kolejne pokolenia na fundament poczucia pewności i zaufania". (Wojciech Strzecha — „Kierunki" nr 4).

WYZNANIA

● „A tak w ogóle, to jestem szczęśliwym człowiekiem, zawsze pisałem to, co chciałem, jeszcze płacono mi za to honoraria". (Bułat Okudżawa — APN).

● „Kukułka to ptak wychowany przez przybranych rodziców (...) Parzy się u nas, potem wraca na południe. Centralnym punktem życia ptaków jest gniazdo. Nie zaobserwowano, jaką metodą spotyka się „pan kukułka" z „panią kukułką". (Dr Władysław Rydzewski — „Wiadomości" nr 2).

● „Wolę rzucić w ogień scenariusz wymagający drobnych tylko poprawek, niż wykorzystać go (...) Aktorzy to instrumenty, które jednak szanuję". (Niedawno zmarły francuski reżyser filmowy Henri-Georges Clouzot).

● „Medycynę kiedyś studiowałem i okazało się, że wiedza lekarska jest satyrykowi niezbędna w stawianiu diagnozy, a niekiedy przy bolesnej, ale koniecznej dla pacjenta „operacji". Grałem także dużo w piłkę, a to, jak wiadomo, uczy celnych strzałów. Kiedy pracowałem w teatrze jako reżyser przyswoiłem sobie umiejętność rozstawiania moich bohaterów po kątach". (Satyryk radziecki Iwan Siemionow).

● „Gdy zasiądę w Białym Domu, będę zawsze trzymał w biurcie parę orzeszków ziemnych i trochę czerwonej ziemi Georgii za paznokciami". (Jimmy Carter wg. Ewy Bonieckiej — „Perspektywy" nr 3).

KONKURSY

● Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Wydział Kultury UW w Gdańsku, Izba Rzemieślnicza i Wojew. Ośrodek Kultury ogłaszają otwarty konkurs literacki dla poetów i prozaików, którzy jeszcze nie wydali książki (publikacja w prasie, radiu i telewizji nie przeszkadza). Utwory napisane po kaszubsku należy nadsyłać do 30 kwietnia pod adresem: Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, 80-828 Gdańsk, Długi Targ 8/10.

noty i notki

Co pewien czas nasza kochana poczta przysyła mi druczek, który — jak czytam — służy do wyrywkowej kontroli prawidłowego działania tejże poczty: czy przesyłka doszła w terminie, czy w ogóle doszła itd. Bardzo ładnie, rzecz tylko w tym, że to wyrywkowe badanie zawsze dotyczy przesyłek, które przychodzą całe i w terminie. A np. w połowie grudnia paczka z Wrocławia utknęła gdzieś po drodze na siedem dni, ostatnio zaś przekaz pieniężny, z tegoż Wrocławia wędrował sześć dni, ale o te przesyłki i z mnie nie pytają. No i potem statystyka pięknie wygląda.

Tak w ogóle to osobiście nie mam większych zastrzeżeń do pracy stacji obsługi PZMot w Lublinie przy ul. Prusa. Irytuje mnie tylko panienka, przyjmująca zlecenie, która po wypisaniu papierka każe mi szukać inżyniera, mającego ów papierek podpisać. A ja nawet nie wiem, jak (co pewien czas inny) inżynier wygląda i mam chodzić po halach i magazynach, gdzie widnieje napis: „Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony". Czyżby lenistwo panienki upoważniało mnie i innych do wstępu?

Prześwietlanie ciała ludzkiego promieniami rentgenowskimi powoduje jakieś tam skutki ujemne. W tej sytuacji pewien laureat nagrody Nobla zaproponował zastosowanie „prześwietlania" impulsami ultradźwiękowymi. Jak tłumaczy „Czas" (nr 5) — „badany obiekt, otoczony cienką membraną plastykową, zanurza się w wodzie", dodając, że „metoda jest całkowicie nieurażna". Wygląda na to, że chcąc np. prześwietlić nerki, trzeba je najpierw wyciąć, potem umieścić w owej membranie plastykowej i zanurzyć w wodzie. W tzw. międzyczasie pacjent może umrzeć, ale metoda mimo to jest „nieurażna". Dziękuję, nie skorzystam.

Zupełnie nieznaną sztukę Moliera wystawił ostatnio olsztyński Teatr im. Stefana Jaracza: „Grzegorza Niezgułę". Dopiero na miejscu co bardziej obiatani w dramaturgii francuskiej widzowie stwierdzili, że chodzi o poczciwego „Grzegorza Dyndałę". Przechrzcił go zaś tak w swoim nowym przekładzie, swojej inscenizacji i swojej reżyserii Bohdan Korzeniewski. Dzięki tym innowacjom na scenie popisuje się także trio wokalno-instrumentalne, a postacie trzeciopłanowe stały się pierwszoplanowymi i odwrotnie. Być może więc w Lublinie zobaczymy wkrótce „Wieczór trzech dyktatorów" z występami Budki Suflera. Tyż pięknie.

I jak tu wierzyć gazetom? W nr 12 „Trybuny Ludu" z dnia 15—16 stycznia br. przeczytałem, że w piciu alkoholu przodują „Francuzi, Włosi, Niemcy w RFN i Austriacy, pochłaniający w ciągu roku od 10 do 17 litrów w przeliczeniu na czysty jak łza spirytus". Tego samego dnia „Sztandar Ludu" (nr 11) twierdził: „Na głowę ludności przypadało w Luksemburgu w 1975 r. 3,5 litra czystego alkoholu, w RFN — 3 litry, w Hiszpanii i Francji — 2,6 l, we Włoszech i Belgii — 2,0 l". Nie podano, ile piją niektórzy redaktorzy w Polsce.

Palenie papierosów nie jest teraz modne, ale nie wszyscy stosują się do mody. Tym ostatnim pani Irena Gumowska radzi w „Życiu Warszawy": „Paląc papierosa powinno się równocześnie dostarczać organizmowi wit. A, albo karotenu, czyli zajadać marchewkę, popijać sokiem pomidorowym, pogryzać natką pietruszki itp.". Pragnąc więc zmniejszyć szkodliwość gnębiącego mnie nałogu, wybieram się do kawiarni „Unia" na małą czarną dźwigając w teczce kilogram marchewki i pęczek natki pietruszki. Sok pomidorowy kupię na miejscu. A może „Unia" obok kawiarni urządzi mały sklep warzywny?

JOD

„Ziemia i Pieśń" („Kamena" nr 24 z ub.r.) stwierdziła, że Bronisław Pietrak, twórca ludowy, odbył od 14 stycznia 1974 r. do 14 października 1976 r. aż 222 spotkania autorskie. Sam Pietrak na ostatnim zjeździe TWP publicznie oświadczył, że najlepszą zapłatę za spotkanie stanowi pocałunek pięknej dziewczyny. Tylko zazdrościć!

MAJ

ekran i widz

FILM Z LISTĄ DIALOGOWĄ

WAWALE filmowej tandety, jaką ostatnio zasypywane są nasze ekrany, w owych kręconych na jedno kopyto francuskich czy włoskich komedyjkach lub pseudoproblemowych dramatach, trudno dopatrzeć się jakiejś logiki repertuarowej Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów, poza — jedynie chyba — względami czysto komercyjnymi. Jeżeli jeszcze do tego dodamy niekończące się okresy wyświetlania „Trędowatych", „Profesorów Wilczurów" czy „Wrzosów", na które rady zakładowe najchętniej kupują bilety „na listy zbiorowe" (osobny problem warty analizy!) — to naprawdę można odczuć się chodzenia do kina. Istnieje wprawdzie zawsze nadzieja, że na jakimś przedpołudniowym, mało „chodliwym" seansie albo na wieczornym, sobotnim maratonie trafi się dobry, ambitny film, ale jakże często ta nadzieja okazuje się złudna.

Kilka miesięcy temu wprowadzono w Lublinie wyświetlanie na niektórych nocnych seansach filmów bardzo niedawno zakupionych, czekających dopiero na dubbing lub napisy, a prezentowanych na ekranie w wersji oryginalnej, z wykorzystaniem listy dialogowej czytanej przez siedzącego na sali spikera. Pozwala to ominąć kolejkę dystrybucyjną filmów szczególnie atrakcyjnych, umożliwia prezentowanie względnie aktualnej światowej produkcji i zapewnia miłośnikom dobrego kina satysfakcję za wyżej — oczywiście — skalkulowane ceny biletów. Źle się natomiast dzieje, gdy owe specjalne filmy okazują się miernotami schlebiającymi najgorszym gustom publiczności. Kasa jest wówczas wprawdzie pełna, ale ogólny zysk wypada na niekorzyść kultury.

Na jeden z ostatnich maratonów lubelska publiczność była wabiona wywieszonymi w ulicznych gablotach reklamówkami w taki oto sposób zachwalającymi francuski film „Miłosna edukacja Walentyna" w reżyserii Jean L'Hote'a:

„Znakomita komedia ukazująca zabawne perypetie właściciela hotelu, usiłującego za wszelką cenę ożenić swego niezdarnego syna. Wobec braku planowanego sukcesu — starszy pan sam wstępuje na ślubny kobierzec".

Pomijając styl reklamy, przypominający filmowe zapowiedzi z lat dwudziestych, treść podanej informacji świadczy o zupełnej beztrosce „redaktora" owego tekstu. Paul Meurisse jest w tym filmie nie — dyrektorem hotelu, nawet nie — maitre d'hotel, lecz — „maitre de salle", to znaczy kimś w rodzaju szefa obsługi i zarazem osobą pełniącą „honory domu" w wielkiej restauracji. (W żadnym szanującym się hotelu dyrektor nie gania we fraku po sali jadalnej i nie dyryguje kelnerami). Po drugie zaś ów „starszy pan" — jak wynika to z akcji filmu — zwiał jednak syna ożenić, natomiast zastępuje go nader sprawnie na całkiem innym polu, tylko że od kiedy, u licha, nazywa się to „ślubnym kobiercem"?

Ale w końcu nie chodzi tutaj przecież o takie czy inne potknięcia lubelskich „speców" od reklamy filmowej, tylko o to, że „Miłosna edukacja Walentyna" jest bezwartościową, trywialną komedyjką obracającą się wokół starego, prostackiego, koszarowego dowcipu o tym, jak ojciec zastępuje syna-niedorajdę w łóżku świeżo poślubionej małżonki. Przy błyskotliwej reżyserii, świetnym dialogu, doskonałej grze aktorskiej i psychologicznym czy filozoficzno-obyczajowym podtekście może by się ostatecznie taki temat obronił. W tym jednak przypadku reżyser zabrał się przede wszystkim do powielania standardowych wzorów warsztatowych, aktorzy myśleli głównie o tanie wyprzedaży własnych ogranych grepsów i gagów, a doskonały skądinąd Paul Meurisse starał się nie odbiegać od ogólnego poziomu. Nieliczne — ładnie fotografowane — hiszpańskie plenery, niestety, nie ratują „Miłosnej edukacji Walentyna".

Fakt, że na tym samym seansie wyświetlano „dla równowagi" interesujący amerykański dramat „Alicja już tu nie mieszka" Martina Scorsese z doskonałymi kreacjami Ellen Burstyn („Oscar" za rolę Alicji) i małego Alfreda Luttera — niczego tutaj nie zmienia. Warto jeszcze raz powtórzyć: pomysł wyświetlania filmów z listą dialogową jest bardzo dobry i potrzebny, ale te filmy trzeba wybierać w bardziej sensowny sposób.

md

POCZTA LITERACKA

W. B. Lublin. Pan nie dotarł jeszcze do istoty języka literackiego. Wydaje się Panu, że literacki to bezbłędny, i tyleż. Stąd nagromadzenie zwrotów gładkich, schludnych, zgrabnych. Tymczasem utwór literacki nie może zawierać powiastki byleiakiej, tyle że opowiedzianej językiem, któremu ze stanowiska składni niczego nie można zarzucić. Musi zawierać uogólnienie spostrzeżeń życiowych, coś z doświadczeń autora, możliwość dialogu. Nawet w zwykłych sytuacjach życiowych jeśli się do kogoś zwracamy, to zwracamy się z czymś. W literaturze zwracamy się z tym najlepszym, do czegośmy doszli zastanawianiem się, próbowaniem, porównywaniem. Cóż z tego, że usłyszymy „dzień dobry" powiedziane z nienaganną dykcją. To nas nie sprowokuje do rozmyślań nad uwarunkowaniami ludzkiego losu.

M. Z. Lublin. Owszem, podoba mi się ten wyostrzony styl. Jakby Pan złożył przysięgę przeciw gadulstwu. Aż ma się wrażenie, że Pan nie pisze, lecz spiskuje. Ale dochodzi do tego, że gubi się sytuacja, tak mało interesują Pana banalne „didaskalia". W prozie narracyjnej chcemy jednak wiedzieć kto, co, po co, kiedy, w jakiej sprawie. Tego u Pana nie ma. Pan wyolbrzymił jeden narząd swojego pisarstwa, ale tak, że inne przy tym więdną. Nie wynika stąd wniosek: osłabić go. Wynika: wzmocnić inne.

R. B. Biłgoraj. To chyba prawidłowość. Przy ewidentnej sprawności tekstów poetyckich proza się roztazi i banalnieje. „Prawidłowość" mówię nie w tym sensie, że w pewnym wieku lepiej się pisze poezje. W tym sensie, że krótkometrażówka poetycka bardziej pociąga niż solidniejszy kawałek roboty. W wierszu można się wykpić kilkoma „ujęciami", w prozie trzeba się pomęczyć nad kompozycją. Te, krótkie zresztą, opowiadania napisał Pan tak, jakby chciał się z nimi jak najszybciej rozstać, by przejść do ukochanych metafor. To już lepiej niech Pan całkowicie zaniecha prozy. Ona rzuca krytyczne światło na pańskie wiersze.

A. B. Konin. „Wszystko krzywe, wszystko nie takie". To cytat z Galczyńskiego. Przytaczam go, by scharakteryzować świat, który Pan opisuje, Dobry Boże. Jakiż jest sens w tym, że do wiersza użyjemy maksimum szarych barw, że opisujemy rzeczywistość kaleką, że powodujemy opadanie rąk własnych i cudzych? Toć mamy rzeczywistość również własnych pragnień, chceń, postulatów. Tę opisujmy. Nie dla zakłamania, czy lakierowania. Ale za dużo się widzi w młodej poezji, że wystarcza postawa jesiennej muchy siedzącej na szybie. Kiedy to czytam, wcale nie czuję protestu przeciw rzeczywistości, która poetę takim czyni. Czuję jakąś satysfakcję, jakąś „schadenfreude". Nie potrzebne optymistyczne hop-hop. Ale — darujmy duże słowo — poeta to twórca swojego świata. Jakiż więc on?

T. P. Zamość. Powiedziałbym, że te teksty rozwadniają się w sentymentaliźmie. Nie optuję za eksmisją uczucia z poezji, ale niech ono nie będzie miałkie. Niech nie przypomina zadumań nad spadaniem liści, drgnień serca przebudzonego pierwszym tchnieniem miłości. Nie jest ważne, żeby się w wierszu ucieszyć, że czujemy, że przeżywamy. Ważne jest, by to spożytkować poetycko. To znaczy w jakiś sposób jedyny. Stanąć w szeregu jako jeszcze jeden tęskniący? Znamy całą kolejkę. Od wiersza oczekujemy czegoś nowego. Spełnienie — rzecz talentu, ale w założeniu nowość musi istnieć. Inaczej nie ma po co pisać.

E. T. Warszawa. Te wiersze porównałbym do małych akwarelek. Wystarcza Pani temacik, miłe ujęcie. Z tym, że i to miłe staje się z czasem nużące, bo nie zamierzone w kierunku poszukiwań. I właśnie nadmiar ilościowy (jakiż to plik!) zasmuca. Bo świadczy że to Pani wystarcza, że się Pani „odnalazła". Proponowałbym ten „okres twórczości" uznać za zakończony, a spróbować innej palety. Nieco większej.

A. P. Rzeszów. Tak, ale śmiałość kojarzeń zbyt często okazuje się zwykłą bezceremonialnością. Na dobrą sprawę każde zestawienie słów można wyinterpretować jako znamię wyobraźni, ale źle, kiedy do wsparcia tekstu potrzebna jest krytyczno-literacka egzegeza. Pod tym względem grzeszy również „oficjalna" twórczość wraz z „oficjalną" krytyką. U Pana — wyraźnie widać — jest to nieodłączna cecha początku. I właśnie oczekiwałbym dalszych prób, ponieważ te pierwsze kroki są postawione śmiało i niewykluczone, że do czegoś mogą doprowadzić.

S. G. Częstochowa. Odnoszę wrażenie, że Pan poszukuje tematów „z boku", marginalnych i w tym widzi Pan oryginalność swojego stawiania sprawy. Niechby mnie jeszcze przekonała realizacja pisarska. Tymczasem język, którego Pan używa, jest całkiem sobie konwencjonalny. Pozostaje blaghostka, której Pan nie umie nadać wymiarów niezwykłości. O nią Pan zabiega, zgoda, ale narzędzie jest nieodpowiednie. Co proponowałbym poczytać? Może „Sanatorium pod klepsydrą", może „Profesora Tutkę"?

W. G. Kraków, Z. O. Stalowa Wola, J. K. Tomaszów Lubelski, G. C. Lublin — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 3)

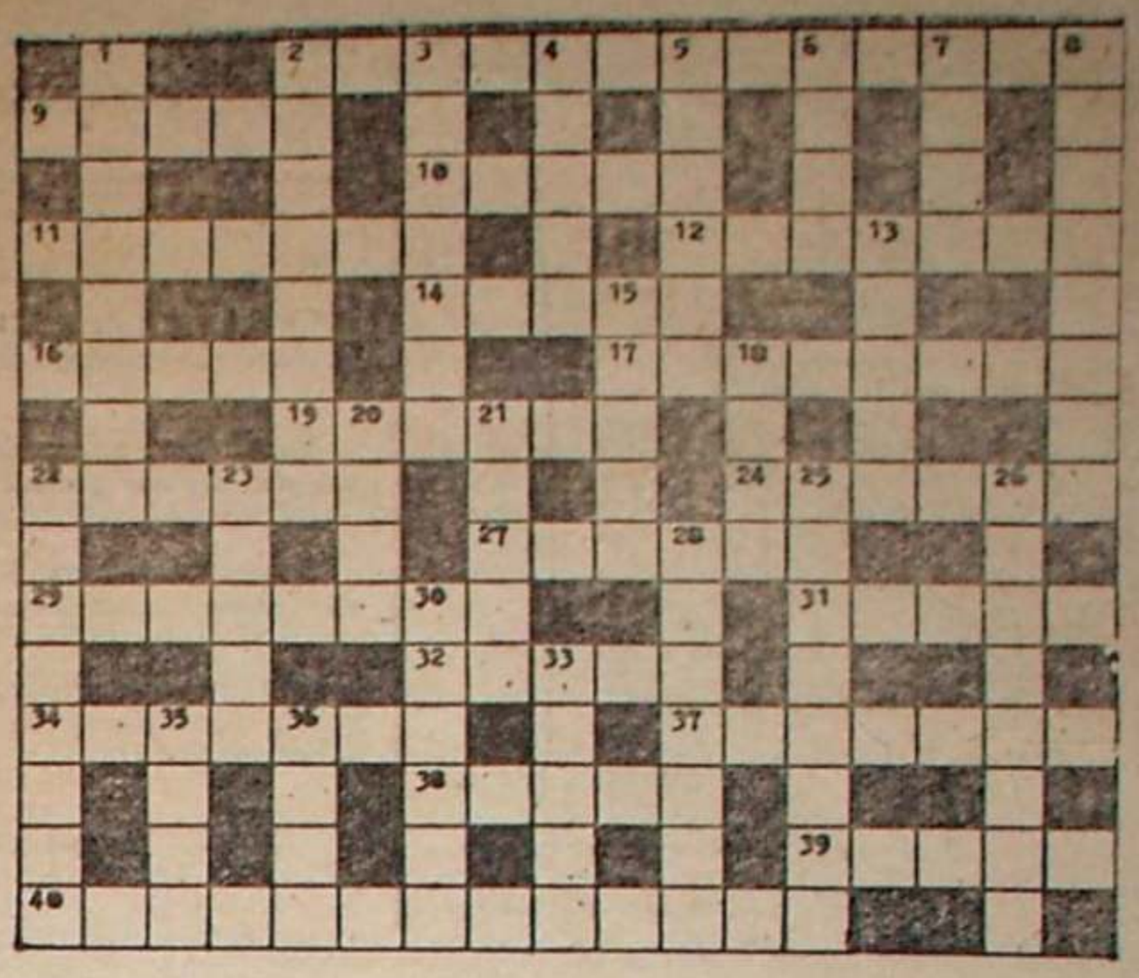

Poziomo: 2. znany malarz polski XIX wieku, twórca m. in. „Odpoczynku ołucza", 9. spokojny, nie wadził nikomu, 10. zapas, znaczne zgromadzenie czegoś, 11. wypowiedź wtrącona w tekst, dygresja, 12. ogłoszenie, reklama, 14. firma od gazu płynnego, 16. bryła o podstawie koła, 17. pisarz francuski z XVII wieku, autor „Bajek Babci Gąski", 19. naczynia na wino lub wodę, 22. pisarz angielski, autor „W pogoni za pełnią życia", 24. kąt między kierunkiem północnym i szukanym, 27. broń Wołodyjowskiego, 29. miasto w woj. zielonogórskim znane z walki o utrzymanie polskości w latach międzywojennych, 31. pismo zaczynające proces cywilny, 32. owoc kasztana jadalnego, 34. roślina używana jako staropolska przyprawa, 37. stolica stanu Georgia, 38. belka, do której przybija się deski podłogowe, 39. imię kobiece z fredrowskiej komedii, 40. autorka „Dziewcząt z Nowolipek".

Pionowo: 1. stolica europejska, 2. jeden z wieszczów, 3. sprawdzenie wiadomości, 4. wolnomularz, 5. włoski zdobywca bieguna północnego, 6. dzieło muzyczne, 7. kłótnia, polemika, 8. zakład naukowy, 13. odcinki trasy, 15. dramat muzyczny, 18. madrycki klub sportowy, 20. stolica skandynawska, 21. rzymska bogini ogniska państwowego, 22. dynastia cesarzy Austrii, 23. resztki starej budowli, 25. polska pisarka, autorka „Ich czworo", 26. wstęp do 15 pionowo, 28. święte miasto nad Gangesem, 30. tłuszcz zwierzęcy, 33. gra w owalną piłkę, 35. rolka, 36. miasto na Ukrainie.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-951 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 1

Poziomo: Turgieniew, Belkow, Szymanowski, zakres, Krzyki, Atlas, satyry, jek, Leszek, epik, uran, remont, akr, Markow, Eltra, rutyna, Skopje, Bolesławita, Sartre, Mniszkówna.

Pionowo: obóz, blok, pole, Ustrzyki, Iganie, inwit, Pieszkow, aria, Rudy, skrypt, Atena, luzak, strzelba, temat, renta, Kurdystan, lampas, rubo, obój, trzask, Rzeki, krak, pęta, elew.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 1 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Bohdan Bieńkowski, 20-325 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 13 m. 1; Edward Gąsior, 33-104 Tarnów, ul. Skowronków 7 m. 18; Zofia Sakowicz, 22-400 Zamość, ul. H. Sawickiej 46; Janina Szustcz, 53-138 Wrocław, ul. Powstańców Śl. 177 m. 1.

listy do kameny

WALDORFF OKRADZIONY

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie jest sprawą ani łatwą, ani przyjemną odpowiadać na tak mocno i chyba słusznie, w kontekście w jakim podane zostały na łamach „Kameny", sformułowane zarzuty. Bo też istotnie, przytoczone w „Kamenie" zdania, zawierające ocenę twórczości Lehara, wyszły spod pióra znanego krytyka muzycznego Jerzego Waldorffa. Przed kilku laty sporządziłem wypisy z artykułu J. Waldorffa:

„34 operetki Lehara", wydrukowanego w n-rze 44 z 1953 r. tygodnika „Świat" i przy nadarzającej się okazji zacytowałem kilka fragmentów. Nie wykluczam, że identyczny tekst J. Waldorffa mógł być wydrukowany również w programie, z którym się jednak nie zetknąłem.

Pilony terminem, rękopis przekazałem do przepisania na maszynie, a następnie, nie skontrolowawszy zupełnie maszynopisu i korzystając z uprzejmości osób postronnych, przekazałem go do redakcji. Stąd też, na skutek przeoczenia, nie umieszczone zostały w maszynopisie cudzysłowu i cytaty te stały się w ten sposób sformułowaniami autora podpisanego pod artykułem.

Oczywiście, było to moje poważne niedopatrzenie, za które ponoszę pełną odpowiedzialność i winien jestem zarówno Jerzemu Waldorffowi, jak również redakcji „Sztandaru Ludu" i czytelnikom, niekonwencjonalne słowa przeprosin. Stosownie do sugestii Pana Redaktora honorarium za artykuł przekazuję na Centrum Zdrowia Dziecka.

Ludwik Gawroński

Panie Redaktorze! Po przeczytaniu w „Kamenie" tekstu pt. „Waldorff okradziony" żałuję, że wcześniej nie zwróciłem publicznie uwagi na „metody pisarskie" p. Ludwika (tak, tak, Ludwika, autor felietonu w „Kamenie" musiał być bardzo wzburzony, skoro kilkakrotnie napisał Lucjan) Gawrońskiego. Gdyby bowiem przed kilkoma laty udowodniono mu popełnianie plagiatów, redakcje byłyby ostrożniejsze przy drukowaniu artykułów, które on sygnuje swoim nazwiskiem. A może on sam też by się czegoś nauczył i zaczął wreszcie pracować samodzielnie?

Nie chcę być gołosłowny. „Życie Warszawy" (nr 256 P) z dnia 26 października 1972 r. zamieściło artykuł Jacka Wołowskiego pt. „Cmentarz Świętokrzyski". Pozwolę sobie fragment zacytować:

„Prawie do końca XVIII w. grzebano w Warszawie zmarłych: uprzywilejowanych w podziemiach kościołów, a pospólstwo, lub po prostu mniej zamożnych, na małych przykościelnych cmentarzach. Te niewielkie cmentarzyki, jak na przykład cmentarz na dzisiejszym placyku Kanonii, otoczone zewsząd zabudowaniami, mimo wysiłków administracji kościelnej, dla której poza wszystkim stanowiły przecież poważny dochód, nie były w stanie sprostać zadaniom... [...] Jednocześnie, jak wynika z akt miejskich, na skutek złych warunków higienicznych gwałtownie spadała cena domów mieszkalnych przylegających do cmentarzy, co powodowało utyskiwanie, a czasem burzliwe wystąpienia pasjonatów na posiedzeniach Rady. Sprawa jednak — jak wszystko, co dotyczy uczuć ludzkich i głęboko w przeszłość sięgających tradycji, była delikatna i trudna do rozwiązania."

A teraz porównajmy. W „Kurierze Lubelskim" (nr 256) z 30 października 1972 r. można było przeczytać tekst p. Ludwika Gawrońskiego, który zaczynał się tak:

„W związku ze Świętem Zmarłych warto kilka słów poświęcić cmentarzowi lubelskiemu. Prawie do końca XVIII w. grzebano w Lublinie zmarłych uprzywilejowanych w podziemiach kościołów, a mniej zamożnych — na małych przykościelnych cmentarzach. Te niewielkie cmentarzyki, jak na przykład istniejący w XVIII wieku cmentarz przy kolegiacie św. Michała Archanioła (rozebrany w 1852 r.) — na dzisiejszym placu Po Farze, otoczony zewsząd zabudowaniami, mimo wysiłków administracji kościelnej, dla której poza wszystkim stanowił przecież poważny dochód — nie były w stanie sprostać zadaniom. Jednocześnie, jak wynika z akt miejskich, na skutek złych warunków higienicznych, gwałtownie spadała cena domów mieszkalnych przylegających do cmentarzy. Sprawa jednak — jak wszystko, co dotyczy uczuć ludzkich i głęboko w przeszłość sięgających tradycji, była delikatna i trudna do rozwiązania."

Komentarz nie jest potrzebny. Chociaż... Może p. Gawroński nie wie, na czym polega plagiat? Cytuję wg „Słownika wyrazów obcych PWN": „plagiat (śrdw.-łac. plagiatus — skradziony; z łac. plagium — kradzież) przywłaszczenie cudzego utworu lub pomysłu twórczego, wydanie go pod własnym nazwiskiem; dosłowne zapożyczenia z cudzych dzieł opublikowanych jako oryginalne i własne; kradzież literacka, artystyczna, naukowa."

Oczywiście jeśli umówimy się, że artykuł publicystyczny nie stanowi d z i e ł a, p. Ludwik Gawroński jest w całkowitym porządku. Wydaje mi się jednak, że tego typu umowy autor nie zawarł z redakcją „Kuriera Lubelskiego", skoro na jego łamach „muzykolog i krytyk muzyczny — Ludwik Gawroński" („Słowo Powszechne" (nr 11) z 15/16 stycznia br.) od dłuższego czasu już nie gości...

Kazimierz Parfianowicz
Kazimierz Dolny n. W.

OD REDAKCJI: W sprawie p. L. Gawrońskiego otrzymaliśmy jeszcze kilka listów i kilkanaście telefonów. M. in. poinformowano nas, że dyrekcja Biblioteki im. Łopacińskiego w Lublinie zabroniła mu już w ub. r. korzystania ze swojego księgozbioru. Zainteresowany wie dobrze z jakich powodów, w każdym razie chodziło już nie tylko o ewent. plagiaty. List p. L. Gawrońskiego drukujemy w całości zgodnie z przyjętymi zasadami. Wyrażamy zadowolenie, że p. Gawroński — w myśl naszych sugestii — wzbogacił fundusz budowy Centrum Zdrowia Dziecka. Na tej całej historii skorzystały więc dzieci...

CZYN TROLEJBUSOWY

W latach sześćdziesiątych przeprowadzono w Lublinie kampanię prasową na rzecz likwidacji trakcji trolejbusowych w mieście, w której przodował „Kurier Lubelski". Argumentowano, że trolejbusy to zawalidrogi szczególnie kłopotliwe na wąskich ulicach śródmieścia, całą przyszłość komunikacji miejskiej wiążąc z autobusami. Po pewnym czasie opamiętano się, jako że nastała moda — pożyteczna zresztą — na ochronę środowiska. Tymczasem zdążono jednak rozebrać trakcję trolejbusową, prowadzącą na Sławinek, którą zainstalowano przy pomocy czynów społecznych licznych zakładów pracy. A przypominam o tym dlatego, że znów myśli się o uruchomieniu trakcji trolejbusowej w tym rejonie miasta. Czy także w czynie społecznym? Jeśli tak, to przy okazji upamiętnijmy jakoś bezowocny wysiłek jej pierwszych, społecznych budowniczych.

inż. Władysław Krępiec
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Irenensz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 174. 21.I.77 r.

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 — Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas 2552/1977/3

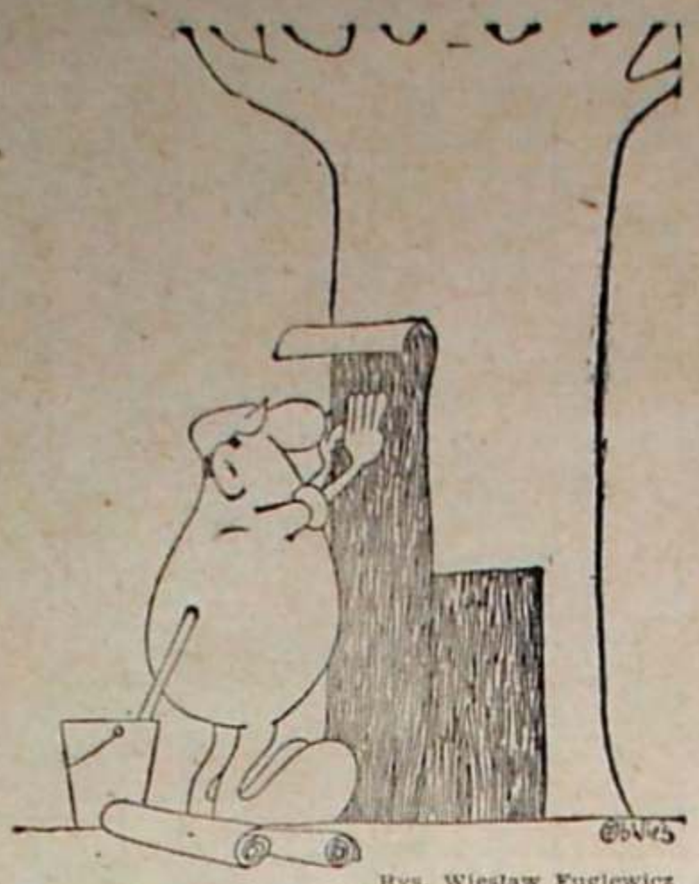

Rys. Wiesław Fuglewicz

Marian Karczmarczyk

DROBNYM ŚRUTEM

Cierpi na tak wielką manię wyższości, że czasem nie poznaje nawet siebie.

Uczył się na cudzych błędach. Ale za własne musiał płacić.

Epoka kamienna już dawno minęła. Kiedy minie epoka kamiennych serc?

Gdy po przegranej przeciwnik opuszcza głowę nie znaczy to, że pozwoli już wejść sobie na kark.

Ostudziły go gorące brawa. Dla przeciwnika.

Rys. Jacek [illegible]

MINUTA MYŚLENIA

Ten ton ten szyk!

PODOBA mi się styl Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego. Siedzą sobie dwaj panowie, popijają koniaczek, a wokół staroświeckość roztacza się tak pewnie, jak pewnie siedział wiek XIX w rysunkach Toulouse — Lauteca, w walcach Straussa. Powtarzam: styl. Styl bycia, styl konwersacji, styl przeżywania czasu. Nie sama świetność tekstu. Znaczy, że tradycja całkowicie nie upadła, nie została odniesiona do lamusa, a jeśli nawet, to ten lamus z wszelkimi rewerencjami trafia przed telewizyjne kamery. Więc może nie tak znów bardzo wierzyć futurologom — kassandrom, którzy wieszczą koniec naszej obyczajowości przed końcem naszego wieku?

Niektórzy zgodzą się ze mną w imię tolerancji. Twierdzę, że powinni się zgodzić w imię kultury. Potrzebne jest to poszerzenie spojrzenia, to szersze potoczenie okiem jak w momentach odpoczynku, co zresztą się zgadza, ponieważ są to również chwile wytchnienia przed uciążliwościami współczesnego dnia. Zagraża nam obyczajowy monostyl. Gorzej: schemat. Mimo wybryków w zakresie mody ubraniowej. Dlatego wzory zachowania się z różnych epok powinny jak najczęściej towarzyszyć naszej codzienności. No, nie żeby je praktykować. Żeby przyjąć model współżycia między ludźmi jako jeszcze jedną z lekcji przekazanych nam przez dzieje kultury.

Podoba mi się Przybora i Wasowski również przez to, że dają sposobność do zatrzymania pamięci nad okolicznościami lubelskimi. W ich zachowaniu się odczytuję stary Lublin. Kiedy słyszę tok wypowiedzi, nie za szybki, nie galopujący po wyłącznie praktycznych informacjach, a stylistykę jako wartość dla siebie, to znaczy bogatą w zdania poboczne, dygresje, potoczystość okresów, przychodzi mi na myśl pewien adres: Graniczna 9. Mówi się tak dzisiaj. Wtedy było: Graniczna 1c. Pomyśleć, ile ten dom przesunął się w numeracji, nie zmieniając swego miejsca w przestrzeni. Dom, w którym odbywały się zebrania lubelskich bibliofilów ze sławetnym księdzem Ludwikiem Zalewskim na czele. Nie za wiele było wówczas organizacji kulturalnych, nie było np. Związku Literatów, który obecnie ma tam swą siedzibę, więc bibliofile musieli spełniać rolę wielokrotną. Nie o samych książkach się rozprawiało. Byli to właśnie Przybory i Wasowscy mówiący o wszystkim, ale w taki właśnie sposób, by uszanować kwestię, nie zbyć jej kilkoma luźnymi rzeczownikami. Jeszcze później chyba Feliks Araszkiewicz prezentował tę solidną robotę stylistyczną. Mówił z wielką rozwagą, jakby sprawa wniesiona w momencie rozmowy była przedmiotem jego uprzednich rozważań. Czy ten człowiek na wszelki wypadek przemyślał sobie cały słownik?

Lubiłem go słuchać, gdyż już wtedy był sporo zaawansowany wiekiem, spełniał rolę „arki przymierza między dawnymi a nowymi laty". Szkoda, że nie pozostawił po sobie wspomnień. A Kukulski, Biernacki, Gostyński! Dla dzisiejszego kilkunastolatka nazwiska te brzęczą jak puszki po konserwach, ale trzeba było cokolwiek wścibić nosa w lata dwudzieste, by wiedzieć, jak wspaniale prezentują charakter swojego czasu. Jaką treść ciągnęło za sobą wymienienie każdego z nich. A więc Graniczna 9 to prawie kamień węgielny wielu lubelskich inicjatyw ważnych do dziś. Na przykład antologia poetów lubelskich wydana w roku 1939. Wprawdzie dzisiejszemu „Przebudzeniu", również antologii poetyckiej, rzadko która książka w Polsce dorówna pod względem jakości papieru, ale ówczesne wydawnictwo nosiło wszelkie cechy stylistyczne swojego czasu: przede wszystkim ten brak pośpiechu. Każdy autor zaprezentowany jest swoją podobizną, facsimilem podpisu, a całość szeleści jakby średniowiecznym foliałem, tak pozaczasowo została pomyślana.

A kto pamięta, że Helena Platta prowadziła coś w rodzaju saloniku literackiego w swym mieszkaniu na Olejnej 10? Było to po odpłynięciu fali migracji na zachód, więc tę inicjatywę podejmowało się tym skwapliwiej widząc w niej możliwość zapełnienia pustki po Przyboslach, Ważykach, Putramentach. Salon to taka kawiarnia, tyle że prywatna, nic więc dziwnego, że rozmowa toczyła się po wszystkich tematach. Dodatkowym bodźcem owego wszystkoizmu był fakt, że program uniwersytecki najdokładniej ustalony jeszcze nie był, przez co każdy ze studiujących (a przeważnie z nich rekrutowali się goście) ramy oficjalnej pedagogii musiał wypełniać własną samokształceniową inicjatywą. Zderzenie autorów, książek, problemów, stanowisk, izmów, a przede wszystkim aktualnych literackich plotek — czy dziś jakiś dom kultury nie zechciałby o ten „sektor" wzbogacić „profilu" swojej działalności? Naśladownictwo wskazane.

Przecież nie godzi się pominąć piwnicy na Rynku, gdzie znajduje się obecnie klub plastyków „Labirynt". Trzeba pamiętać, że te cztery kondygnacje pod ziemią ożyły z inicjatywy, a właściwie biedy literatów, którzy nie mogąc otrzymać lokalu wstąpili do podziemia. Tam też po raz pierwszy na lubelskim gruncie pojawiła się postać Ryszarda Liskowackiego, Jerzego Krzysztonia, Zdzisława Łączkowskiego, Barbary Eysymont. Ech, łza się w oku kręci. Że też nie ma jakiegoś sztambucha, do którego pro aeterna rei memoria można by wpisywać aktualności dotyczące takich miejsc, takich wydarzeń.

Więc tym bardziej niech żyją Przybora i Wasowski. Stara gwardia wiecznie młoda.

Ijon

Rys. Andrzej Stok

bez tytułu

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

— 26 —

I Zygmunt widzi Elżbietę. Uśmiecha się, ale uśmiech ginie mu na ustach: Elżbieta jest poważna. Bardzo poważna.

Zygmunt blednie. Mężczyzna, który siedzi obok Elżbiety, obejmuje ją za szyję, nachyla się i nie zważając na tłum ludzi kryje głowę w jej włosach. Coś szepcząc mięzy sobą. Nieważne jednak w tej chwili, co stanowi temat rozmowy. Zygmunt wie już wszystko. Bez słów.

Przeciska się do wyjścia. Mija Elżbietę i Andrzeja, a kiedy autobus zatrzymuje się na najbliższym przystanku, wysiada. Przedtem jednak rzuca w kierunku Elżbiety:

— Dziwka!

W autobusie jest jednak tłoczno. Nikt nie orientuje się, o co chodzi. Do kogo są te słowa skierowane. Ktoś woła:

— Panie, jak pan się spił, niech pan nie wsiada do autobusu!

Kierowca rusza. Powraca spokój. Tylko Elżbieta jest czerwona jak burak. I tylko Andrzej wie, tylko on wyczuwa, że te słowa padły właśnie pod jej adresem.

— Co się stało? Kto to był? Boże, przecież to ciebie on tak nazwał — szepcze jej do ucha.

— Nic nie mów. Potem ci wszystko wytłumaczę. — Oczy Elżbiety zachodzą łzami.

Ale oto i Iwonicz. Elżbieta czuje się coraz gorzej. Opiera się o Andrzeja.

— Mój ty... — szepcze.

Nie może iść. Siadają na ławce. I Elżbieta mówi. Teraz nie pomija niczego. Urywanymi zdaniami opowiada cały swój życiorys.

— Andrzejku, słabo mi... Lekarza!

* * *

— Zabiję go! Zabiję tego drania! — Andrzej nie może opanować nerwów.

— Przeznaczenie. Tak się musiało stać...

Szpital. Dziecka już nie będzie. Poronienie. Ale Elżbieta wie, że Andrzej jest z nią. Teraz, w tych tragicznych dniach, jeszcze bardziej odczuła jego obecność. Jeszcze bardziej stał się jej bliski.

— Kochana. — Te słowa działają jak kojący balsam. — Natychmiast po twoim wyjściu ze szpitala oświadczam się rodzicom o twoją rękę. Będziesz moją żoną. Będziesz jak najszybciej!

Na szczęście rodzice o niczym nie wiedzą. Przypadkową karetką pogotowia Andrzej odwiózł Elżbietę do szpitala w Krośnie.

Elżbieta jest pewna. To będzie małżeństwo z miłości, nie z przymusu. A na dziecko przyjdzie jeszcze czas. Wszystko zaplanują.

* * *

Przed wyjściem ze szpitala Elżbieta bierze do ręki ostatni numer miejscowej gazety. W kronice wypadków czyta:

„Pod autobus wpadł młody mężczyzna. Ofiara wypadku zmarła w drodze do szpitala. Przy zmarłym nie znaleziono żadnych dokumentów, a jedynie fotografię. Może dzięki niej uda się zidentyfikować zabitego. Wszelkie informacje prosimy kierować pod adresem..."

Elżbieta blednie... Fotografia... Nie ma wątpliwości. To jej zdjęcie. To samo, które kiedyś dała Zygmuntowi. Na szczęście odbitka jest bardzo słaba. Nie wszyscy ją poznają. Na zdjęciu nie było też żadnej dedykacji.

Ale Elżbieta idzie jednak pod wskazanym w komunikacie adresem. Kielich goryczy musi wypić do dna. Za dwie godziny przyjdzie po nią Andrzej. Do tego czasu musi być po wszystkim, niech Andrzej już nie bierze na swe barki jej przeżyć. Tak musiało być.

* * *

Porucznik milicji jest bardzo uprzejmy.

— Serdecznie pani dziękuję. Natychmiast odszukamy i zawiadomimy rodzinę. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby pani jeszcze obejrzała ziołoki.

— Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

— Poradzimy sobie. Rozumiem panią w pełni.

— Czy to był wypadek?

— A co ma pani na myśli?

Elżbieta milczy. Samobójstwo... To słowo nie przejdzie jej przez usta. Ale porucznik rozumie.

— Oczywiście, że wypadek. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Kierowca był pijany i zjechał na chodnik. Poza pani znajomymi dwie osoby zostały ranne, ale życiu ich nie zagraża niebezpieczeństwo.

Elżbieta oddycha z ulgą. Pewna jest jednak, że Zygmunt przyjechał tutaj po to, aby się z nią spotkać. Gdyby więc nie ona, jego by tutaj nie było. A gdyby go tutaj nie było, żyłby dalej. Więc w jakiś sposób, odległy zresztą, musi być za tę śmierć odpowiedzialna. Musi?

* * *

Elżbieta wraca do szpitala. Po dziesięciu minutach przychodzi Andrzej. Pryska pierwotny zamiar. Elżbieta nie może milczeć. Mówi, z trudem powstrzymując się od płaczu.

— Maleńka moja! To był wypadek. Zrozum, wypadek!

— Ale to bardzo zły znak. Zawsze będę o tym pamiętać.

— Zapomnisz. Pamięć ludzka jest krucha. Kocham ciebie! Kocham!

KONIEC

OD REDAKCJI: Kończymy powieść czytelników. Winni są sami czytelnicy, którzy w ostatnim czasie znacznie zredukowali propozycje. Okazało się zresztą z kilku listów, że naszych czytelników ogarnęło już znużenie. Było nie było, nazbierało się 26 odcinków, a powieść drukowaliśmy w ciągu całego roku! Ostatni odcinek napisała p. Zofia Nyrek z Lublina. Dziękujemy.

Do ostatniego odcinka dołączyliśmy nową winietę tytułową. Jeśli są tacy, którzy powieść wycinają (a słyszeliśmy, że są!) i wklejają do zeszytów, mogą na okładce zamieścić nową, efektowniejszą winietę.

A co będzie teraz? Poczekajmy. Szykujemy nową niespodziankę.

P.S. P. Krystynę Maśkę, która napisała poprzedni odcinek, prosimy o podanie adresu celem przesłania honorarium.